

**Wieża Hölderlina
i inne
miejsca**

WOJCIECH DUDZIK

**Wieża Hölderlina
i inne
miejsca**

WY
DA
WNI
CTWO

Sic!

Copyright © by Wojciech Dudzik, Warszawa 2000
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Sic!,
Warszawa 2000

Projekt graficzny
Maria Turbaczewska

Redakcja i korekta
Zespół

Książka wydana z pomocą finansową Wydziału Polonistyki
Uniwersytetu Warszawskiego



91 942

Wydanie I
ISBN 83-86056-76-2

Wydawnictwo Sic! s.c.
00-724 Warszawa
ul. Chełmska 27/23
tel./fax: (0-22) 840 07 53
e-mail: sic@sic.ksiazka.pl
<http://www.sic.ksiazka.pl>

Łamanie: Borgis
Druk i oprawa: Opolskie Zakłady Graficzne SA
Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

*Fremd bin ich eingezogen,
fremd zieh ich wieder aus...*

Wilhelm Müller

Przedmowa

Ludzie, miejsca, widoki

Są widoki, jakich się nie zapomina. Zwłaszcza kiedy pojawiają się przed naszymi oczami nieoczekiwanie. Z widokami jest bowiem mniej więcej tak jak z lekturami. Na niektóre przygotowujemy się zawczasu, wyszukujemy je, smakujemy, porównujemy ze znanymi nam relacjami i opiniami innych, konfrontujemy z wcześniejszymi własnymi wyobrażeniami – i albo dołączamy taki tom lub obraz do prywatnego zasobu ważnych przeżyć i odkryć, albo z rozczarowaniem zamykamy książkę lub oczy i zapominamy. Zdarzają się też jednak – może bardziej fascynujące – nieplanowane, nagłe odkrycia i olśnienia. Często nie podejrzewamy, jaka siła może drzemać między niepozornymi okładkami opatrzonymi nieznanym nazwiskiem czy tytułem, nie przypuszczamy, jaka panorama ukaze się naszym zmysłom – bo przecież nie tylko wzrokowi, ale również powonieniu, a nawet przedłużonemu w jakiś specjalny sposób dotykowi – za następnym zakrętem, na najbliższym wzniesieniu. Porażenie lekturą, porażenie widokiem zdarza się nieczęsto. I tego właśnie się nie zapomina.

Są miejsca, które oddziałują w szczególny sposób, chociaż nie otwierają odwiedzającym oczu na żaden nadzwyczajny obraz. Skupiają uwagę na sobie. Czasami, jak widoki, także zostają stworzone przez naturę, częściej jednak by-

wają obdarzane niezwykłością przez człowieka: są naznaczone czyjąś obecnością, nacechowane wyjątkowym zdarzeniem, niepospolite z racji swego historycznego losu. Miejsca, które przyciągają zainteresowanych, pielgrzymów, turystów, zwykłych ciekawskich, czasami tylko snobów, pragnących przejść się po sławnych śladach, obejrzeć własnymi oczyma opisany po wielekroć zakątek, unieśmiertelić na fotografii swoją tam obecność. Od takich miejsc oczekuje się wzmożonego oddziaływania i podwyższonej intensywności przeżyć niejako *ex definitione*. Co zresztą nie zawsze następuje i budzi wtedy rozczarowanie. Są również takie miejsca, które, mimo że często opatrzone gwiazdkami lub wykrzyknikami w przewodnikach, odkrywać trzeba po swoim, by móc dzięki nim ponownie – i inaczej – spojrzeć na znanych uprzednio ludzi, na znane uprzednio dzieła, na znane uprzednio wydarzenia. Miejsca, do których trafiamy rozmyślnie lub przypadkowo, zostajemy w nich godzinę lub tydzień, a potem nie dają nam długo spokoju, czegoś od nas chcą, każą czegoś szukać czy właśnie coś odkrywać.

Podobnie bywa z ludźmi. Wydaje się, że znamy ich biografie i dzieła, zainteresowania i inspiracje, miłości i niechęci, ale dopiero poprzez obcowanie z jednym czy drugim miejscem ich życia odkrywamy niektóre istotne zakamarki ich świata, ich umysłowości czy nawet duchowości, a więc tego, co najtrudniej poznawalne. Czytać Hölderlina, Nietzschego, Hessego znaczy co innego niż dotknąć Hölderlina, Nietzschego, Hessego. Albo dotknąć NIMI tego czy innego miejsca: wieży, kamienia, jeziora...

Zebrane w tym tomiku szkice są świadectwem takich odkryć: miejsc i ludzi. Przy okazji zaś kilku niezwykłych widoków. W życiowym itinerarium wszystkich postaci, o których będzie tutaj mowa: Friedricha Hölderlina, Richarda Wagnera, Friedricha Nietzschego, Hermanna Hessego, Thomasa Manna i Rudolfa Steinera, można by znaleźć dużo ciekawych miejscowości, mogących stać się powodem niejednej opowieści o losach wymienionych autorów, mogących też

dać impuls do ułożenia, *en bloc* albo dla każdego oddzielnie, całkiem atrakcyjnego przewodnika z serii „Śladami wielkich ludzi”, z mapkami i kolorowymi zdjęciami. Oddziaływanie biograficzno-geograficzne, by tak się wyrazić, było zresztą często dwustronne. Wiele miejsc nabrało wyjątkowego znaczenia dzięki wybitnym twórcom, w innych wpisali się oni we wcześniej już istniejącą konfigurację *geniorum loci*. Niniejszy zbiór szkiców nie przynosi jednak opisów ciekawych epizodów z życia artystów czy filozofów, nie stanowi też jakiegokolwiek przewodnika – choć nie ukrywam, że aspekt topograficzny odgrywa w moich tekstach dużą rolę. Jest to, mówiąc najprościej, świadectwo prywatnego odkrywania kilku bardziej lub mniej znanych miejsc, wybranych w niezbyt metodyczny sposób – terytorialnie ograniczone do południowo-zachodnich Niemiec i północnej Szwajcarii, z racji kilkuletniego zamieszkiwania „w pobliżu” – z wielu, w każdym przypadku, możliwości. I jeśli niektóre wybory jawią się jako oczywiste, bo czytelnicy Hölderlina kojarzą z nim bez namysłu zwłaszcza Tybingę, a słuchacze Wagnera szukają jego śladów przede wszystkim w Bayreuth, to inne mogą zastanawiać, nie są bowiem powiązane z poszczególnymi biografiami w sposób najbardziej oczywisty: tak jak pierwszy dom Hessego w Gaienhofen nad Jeziorem Bodeńskim albo jak miejsce datowania niektórych dzieł Nietzschego, Sils-Maria w szwajcarskiej Górnej Engadynie. Każdy tekst zaczynał się jednak zawsze od miejsca, nie od osoby. Nie studiowałem biografii swych bohaterów, by znaleźć pretekst do pisania, ale – raz jeszcze powtórzę z naciskiem: zawsze – osobę znajdowałem w danym miejscu. Najpierw chciałem zobaczyć wieżę, teatr czy jezioro – tak jak widywali to inni przede mną – potem dopiero zaczynałem wypełniać każde miejsce jakąś konkretną obecnością. Często trochę klucząc po drodze: by trafić do Wagnerowskiego Festspielhausu w Bayreuth musiałem na przykład najpierw odwiedzić lożę księżnej Wilhelminy Zofii w zbudowanej ponad wiek wcześniej tamtejszej operze. Często zaś rewidując dzięki wizycie potoczne wyobrażenia,

którym sam niegdyś ulegałem: wędrówka do wieży Hölderlina pozwoliła mi na przykład zobaczyć w nim człowieka w pewien sposób szczęśliwego, wbrew przekazom o tragicznym losie szalonego poety.

W miarę kolejnych podróży i w miarę powstawania kolejnych szkiców – co następowało zresztą w innym porządku niż zaproponowany tu układ – zaczęły się także ujawniać wewnętrzne powiązania pomiędzy opisywanymi postaciami: nieraz tak ewidentne, jak będące przedmiotem wielu studiów relacje osobiste Wagnera z Nietzschem albo poświadczona wydanym tomem ich korespondencji przyjaźń Hessego z Mannem, kiedy indziej zaś sprowadzające się do pewnych podobnych doświadczeń życiowych i kulturowych, a także – co wcale nie marginalne – lekturowych. W dodatku krzyżowały się nieustannie ich drogi, bywali w tych samych albo pobliskich miejscach, oglądali te same widoki. Pośrednio również o tym chce opowiedzieć ta książka.

Ostatni z zamieszczonych tu tekstów może wydawać się nieco odmienny od pozostałych. Ale po napisaniu – pierwotnie z zupełnie innym przeznaczeniem – szkicu o teatrze na Szwabskiej Alpie i o jednym przedstawieniu z repertuaru tego teatru uświadomiłem sobie, że zarówno tematyka spektaklu, jak również los jego bohaterów: Franza Schuberta i Petera Härtlinga, dawnego muzyka i współczesnego pisarza, mają pewien wspólny rys, dający się zidentyfikować także w doświadczeniach duchowych wszystkich opisywanych przeze mnie bohaterów. Dzięki spektaklowi *Melchinger Winterreise* (Podróż zimowa w Melchingen) znalazłem więc jeszcze jeden klucz do odkrywanych przez siebie różnych miejsc, do ponownie odkrywanych przez siebie postaci i do okolic (albo okoliczności), w których przyszło im – i mnie – jakiś czas żyć.

Rottenburg nad Neckarem 1996 – Brwinów 2000

W.D.

Wieża Hölderlina

Hölderlinturm. Należy do wizerunku miasta tak jak Brama Floriańska do Krakowa. Przybysz zmierzający od dworca w stronę centrum i głównych budynków wszechobecnego tu uniwersytetu zatrzymuje się zwykle po raz pierwszy na moście Eberharda na Neckarze, zwanym też po prostu Neckarbrücke, i stamtąd – jeśli jest turystą – może zrobić pierwszą fotografię: skierować obiektyw w lewą stronę i utrwalić po raz nie wiadomo który najsłynniejsze ujęcie Tybingi, tak zwany Neckarfront. Kilkanaście kolorowych, najczęściej trzy- lub czteropiętrowych kamieniczek o spadzistych, czerwonych albo brązowych dachach, zza których wyłania się charakterystyczna szara wieża ewangelickiego kościoła seminaryjnego pod wezwaniem świętego Jerzego, z niewielkim balkonikiem na samej górze, biegnącym dookoła, już ponad zegarem, a poniżej stosunkowo krótkiego, szpiczastego zwieńczenia. Ostatni w pierwszym szeregu, siedemnasty z kolei licząc od mostu, tuż przed dużą kępą drzew, jest mały żółty dom, do którego od strony rzeki przylega słynna wieża, a raczej wieżyczka, bo jej ostro zakończony hełm niewiele wystaje ponad dach dwupiętrowego budynku. Dom z wieżą stoi najbliżej rzeki, może jakieś pięć metrów od zakręcającego nieco w tym miejscu w lewo brzegu Neckaru. Jest trochę wysunięty spośród

pierwszego rzędu kamienic i dlatego od razu rzuca się w oczy. Od wiosny do jesieni cumuje pod wieżą kilka długich łodzi, którymi studenci (bo to tylko ich przywilej) odbywają przejażdżki po Neckarze i które wraz z kręcącymi się tu zwykle kaczkami – zwykłymi krzyżówkami albo krawkami, choć czasem pojawia się również piękna mandarynka z kolorowym czubem na głowie – dopełniają malowniczego kadru z wierzbą płaczącą w tle.

W oknie na pierwszym piętrze nie widać już tylko, od ponad półtora wieku, sylwetki najślawniejszego lokatora wieży, zamieszkującego ją przez trzydzieści sześć lat, od maja 1807 do czerwca 1843, Johanna Christiana Friedricha Hölderlina.

Nieszczęsnemu Hölderlinowi już w łonie matki przeznaczono niedolę. Kiedy bowiem matka była z nim w ciąży, poczyniła śluby, że poświęci syna Panu, to znaczy uczyni go teologiem. Gdy przyszedł czas oddania Hölderlina do seminarium, ten się buntował i chciał raczej zostać medykiem, ale bardzo religijna rodzicielka zmusiła go do wypełnienia swojej woli. Po skończeniu studiów Hölderlin miał, zgodnie z zamysłem ówczesnego kanclerza uniwersytetu Lebreta, zostać proboszczem parafii w Wolfenhausen. Odrzucił jednak ofertę, mimo że kanclerz chętnie by mu też oddał swoją córkę. (...) Z biegiem czasu trafił do Frankfurtu nad Menem jako guwerner w bogatym domu niejakiego Gontarda. Ponieważ zbliżył się jednak za bardzo z panią domu, musiał opuścić stanowisko. Został prywatnym nauczycielem w Homburgu, próbował też później objąć profesurę filozofii w Jenie, ale nie powiodło mu się to. Pograżony w melancholii wrócił w końcu do domu.

W trosce o Hölderlina wynaleziono mu wkrótce nowe miejsce nauczyciela, w Bordeaux. Krewni chcieli go w ten sposób wyzwolić od ponurych nastrojów, ale we Francji pogorszyło mu się tylko. Opuścił więc i Bordeaux, wyposażony zresztą w okrągłą sunę, ale do domu powrócił bez walizki,

bez pieniędzy i bez swoich manuskryptów. Tak zaczęło się jego szaleństwo.

Pomyślano znowu, że uspokoi go jakaś nowa posada. Księżę von Homburg, który znał Hölderlina osobiście, mianował go nadwornym bibliotekarzem i w swej szlachetności wysłał po niego do Nürtingen, gdzie poeta zatrzymał się u matki, swojego ministra Sinclaira. Sinclair był dobrym przyjacielem Hölderlina z czasów uniwersyteckich, dlatego chory chętnie wyruszył z nim do Homburga. Tam starano się o Hölderlina na wszystkie możliwe sposoby, przyjmowały go nawet księżniczki, wszystko jednak daremnie. Z poetą było coraz gorzej i w końcu nie można było już go dłużej trzymać na dworze. Wysłano go do Tybingi pod pretekstem zakupu książek dla księcia, naprawdę zaś na kurację do kliniki doktora Autenrietha. Ale w klinice pogorszyło mu się jeszcze bardziej.

Akurat wtedy razem z żoną nadwornego introligatora Bliefera przeczytałem „Hyperiona”, który mi się bardzo spobał. Odwiedzałem Hölderlina w klinice i było mi go bardzo żal – tak piękny niegdyś umysł pogrążył się w mroku. Ponieważ w klinice nie udało się Hölderlinowi pomóc, kanclerz Autenrieth zaproponował mi, bym przyjął poetę do mego domu, bo nie znał innego odpowiedniego miejsca. Hölderlin był i jest wielkim miłośnikiem przyrody, ze swego pokoju mógłby spoglądać daleko w dolinę Neckaru i Steinlachu, zgodziłem się więc go przyjąć.

(Ernst Zimmer do N.N., 22 grudnia 1835)¹

Wieża była trzecim adresem Hölderlina w Tybindze. Gdy przybył tu na studia 21 października 1788, zamieszkał na pięć lat w murach Stiftu, czyli Instytutu Teologicznego,

¹ Wszystkie, z wyjątkiem drugiego z kolei (zob. przyp. następny), cytowane w tekście dokumenty pochodzą z książki Hölderlin, *der Pflugsohn. Texte und Dokumente 1806–1843 mit den neu entdeckten Nürtinger Pflugschaftsakten*, hrsg. von Gregor Wittkop, Verlag J. Metzler, Stuttgart–Weimar 1993.

przy ulicy Klosterberg 2, a więc po prostu na Górze Klasztornej. Dzisiaj także mieszkają tu studenci ewangelickiej teologii i, tak jak dwieście lat temu Hölderle, mają tu zapewnione darmowe utrzymanie – oczywiście, jeśli pochodzą z Wirtembergii, bo przywilej ten dotyczył i dotyczy wyłącznie miejscowych, Szwabów. W tym samym roku 1788 zjawiał się w duchowym centrum Szwabii także Hegel, dotychczasowy gimnazjalista stuttgarcki, nieco później Schelling, pochodzący z niedalekiego Leonbergu. Wszystkim trzem zdarzyło się przez jakiś czas mieszkać w jednym pokoju, na drugim piętrze – nie pokazywanym dziś turystom, bo wciąż zamieszkiwanym przez kolejnych seminarzystów. Trzej przyjaciele chodzili razem na wykłady, razem dyskutowali o rewolucji francuskiej, razem posadzili na jej cześć drzewko wolności na łące nieopodal Lustnau. Studentów było wówczas w Tybindze około ośmiuset, z tego trzystu w Stifcie, a reszta na uniwersytecie. Stanowiło to wysoki odsetek mieszkańców, mianowicie piętnaście procent. Dzisiaj proporcje są jeszcze bardziej niezwykle: studiuje jedna czwarta miasta, dwadzieścia tysięcy osób. Czy jest wśród nich przysły Hegel, przysły Schelling – nie wiadomo. Wśród profesorów są za to nobliści.

Drugi adres Hölderlina w Tybindze dzieli od pierwszego zaledwie pięćset metrów. Przy Bursagasse 1, w klinice doktora Autenrietha, mieszkał od września 1806 do maja 1807. Nie trafił tam z własnej woli, o czym wspominał cytowany powyżej mistrz stolarski Ernst Zimmer. To do jego domu położonego naprzeciwko kliniki (ta sama ulica: Bursagasse, numer 6) wprowadził się poeta – albo raczej został wprowadzony – późną wiosną 1807. Dom z wieżą miał już za sobą długą historię, sięgającą trzynastego wieku. Wtedy to opasano miasto murami obronnymi – ich resztki widać nad Neckarem do dziś – z kilkoma wieżami. Jedna z nich znajdowała się tuż przy moście, druga, mniejsza, niecałe dwieście kroków dalej w lewo. To na fundamencie tej drugiej wieży wzniesiono później znany dziś budynek, kilka-

krotnie jeszcze zresztą przebudowywany. Na sztychach z początku siedemnastego wieku widać, że wieża była wtedy włączona w miejskie mury, a do ich wewnętrznej strony przylegał w tym miejscu niewielki domek. Nad Neckarem mieszkali wówczas rozmaici rzemieślnicy, z rzemiosłem związane też były funkcje, jakie pełniła wieża w następnym stuleciu: garbarni, magła, wreszcie farbiarni tkanin. W 1778 roku ówczesny właściciel, dozorca zbrojowni miejskiej Longinus Fischer, otrzymał pozwolenie na rozebranie starej baszty i zbudowanie na jej fundamencie niewielkiego budynku mieszkalnego, przylegającego do właściwego domu z wejściem od ulicy Bursagasse.

Nowa wieża nie była już połączona z murami obronnymi, z biegiem lat trochę obniżonymi, częściowo poprzesywanymi, a częściowo rozebranymi. Nie miała jednak dzisiejszego kształtu. Była ośmiokątna, a nie okrągła, z bardziej spłaszczonym dachem. Pokój na pierwszym piętrze, trochę mniejszy niż obecnie, posiadał o dwa okna więcej, to znaczy pięć.

Dom z wieżą w takim kształcie przejął na początku 1807 roku wspomniany już stolarz Zimmer, *notabene* niemal rówieśnik Hölderlina, bo tylko o dwa lata od niego młodszy. Swój warsztat urządził na parterze, sam z żoną Marią Elżbietą i dwojgiem małych dzieci zamieszkał na piętrze. Stolarz był to trochę niezwykły, samouk, miłośnik literatury, czytelnik Hölderlinowskiego *Hyperiona*, partner rozmów tybińskich uczonych. Nic dziwnego, że doktor Autenrieth, gdy po dwustu trzydziestu jeden dniach daremnych wysiłków terapeutycznych uznał przypadek Hölderlina za beznadziejny, zaproponował dalszą opiekę nad poetą (przewidywaną zresztą na najwyżej trzy-cztery lata, bo więcej szans przeżycia choremu nie dawał) właśnie Zimmerowi, którego poznał z prac wykonywanych dla szpitala i z... erudycji. Pokoik w wieży obok mieszkania stolarza był wolny, Hölderlin stał się więc jego lokatorem. Na trzydzieści sześć lat. Na połowę swego życia.

Jedno okno wychodzi na wartko płynący, zahaczający o nadbrzeżną wierzbinę Neckar, i na otwierające się za nim aleje, z których wynurzają się gdzieśdomy. Cały widok wieńczy błękitna linia wzgórz Jury. Drugie okno wychodzi wprost na duże drzewo bukowe, pod którym jest mały warzywnik z grządkami sałaty, rzeżuchy i kwitnącego maku; dalej widać schody prowadzące z ogródka na ograniczający widok mur, wysoki na jakieś dwadzieścia stóp. Potem stara szopa, czubek następnego domu, a w tle odnoga Góry Zamkowej. Na prawo od wspomnianego muru stoją w linii prostej małe domki, które wydają się być przedłużeniem muru. Ich okna ocienia miejscami wątła zieleń młodych śliw.

(Ernst F. Wyken do rodziców, 1859)²

Ten opis nie pochodzi od Hölderlina, ale od jednego z następnych lokatorów pokoju w wieży. Brakuje informacji na temat widoku z trzeciego okna, z którego patrzyło się w stronę mostu, z biegiem rzeki. Ale też tylko most był tu nowym elementem architektonicznym. Nad brzegiem stały kolejne domy i dawny mur obronny, po drugiej zaś stronie otwierała się dolina prawego dopływu Neckaru, potoku Steinlach i wznoszącego się ponad nim pasma zalesionych wzgórz Rammertu, widocznego jednak lepiej ze środkowego okna wieży.

Pięknym widokiem z pokoju Hölderlina zachwycało się wielu odwiedzających poetę. Tę zaletę mieszkania w wieży podkreślał też Zimmer, gdy uzasadniał gotowość przyjęcia do swego domu „miłośnika przyrody”. Ludzie dziewiętnastego wieku byli w ogóle, jak się zdaje, bardziej uwrażliwieni na widoki. Czy dzisiejszy student uniwersytetu w Tybindze opisuje rodzicom, co widzi z okna wynajętego pokoju? A cytowany wyżej młodzieniec dołączał jeszcze do listu całkiem dokładny szkic!

² Cyt. wg: Martin Kazmaier, *Tübinger Spaziergänge*, Neske, Pfullingen 1977, s. 186.



Wieża Hölderlina (na drugim planie) w Tybindze przed
przebudową, ok. 1868.

Goście Hölderlina nie mieli wątpliwości co do tego, że wspinały widok z okien wieży musi oddziaływać pozytywnie na nastrój poety i być źródłem jego natchnienia. W wielu relacjach z odwiedzin zwraca się też uwagę, że proszony o skreślenie paru nowych strof autor spoglądał zawsze najpierw przez okno, zanim chwycił za pióro. Wśród około pięćdziesięciu wierszy napisanych w wieży aż trzy noszą nawet tytuł *Widok*.

Wszystko to zaskakuje jednak współczesnego turystę lub pielgrzymę podążającego śladami Hölderlina, bo dzisiaj z okien wieży widać niewiele. Dolinę Steinlachu i malownicze wzniesienia Jury Szwabskiej (którą wołę jednak nazywać Szwabską Alpą, może wbrew polskiej terminologii geograficznej, ale za to w zgodzie z oryginałem) zastąpił rząd domów, gdy Tybinga rozszerzyła się na drugi, południowy brzeg Neckaru. A i te domy – redakcja lokalnego dziennika „Schwäbisches Tagblatt”, Gimnazjum imienia Ludwiga Uhlanda oraz sala gimnastyczna – są słabo widoczne, zastania je bowiem podwójny rząd wielkich, gęsto posadzonych nad rzeką w połowie dziewiętnastego wieku płatanów, tworzących piękną aleję, z której miasto jest dzisiaj bardzo dumne. Nawet Neckar wygląda teraz zupełnie inaczej, bo nie ma bystrego jak dawniej prądu, lecz płynie powoli, dostojnie, dzięki tamie spiętrzającej wodę kilkaset metrów za mostem Eberharda. Tylko drzewa przy samej wieży zostały podobne. Stary buk od zachodniej strony domu rozrósł się i gałęziami sięga dziś okien, choć między nie i liściaste konary wciska się jeszcze dużo młodsza choinka. Wierzbą płaczącą coraz głębiej zanurza swoje długie witki w Neckarze. Ale źródłem poetyckiego natchnienia może być obecnie raczej widok NA wieżę, na pewno zaś nie Z wieży. „Hölderlinowskie” wiersze Johanna Bobrowskiego, Paula Celana, Stefana George’a, Michaela Hamburgera, Hermanna Hessego, Ernsta Meistersa i innych dowodzą tego zresztą najlepiej.

Jego dzień jest nadzwyczaj prosty. Rankiem, szczególnie letnią porą, kiedy w ogóle jest bardziej niespokojny i zmęczony, wstaje przed świtem albo razem ze słońcem i zaraz opuszcza dom, by udać się na spacer wzdłuż muru. Spacer ten trwa przeważnie cztery do pięciu godzin, aż do zmęczenia. Zabawia się przy tym w ten sposób, że trzyma w ręku chustkę i uderza nią o mijane płoty albo zrywa sobie trawę. Jeśli znajdzie jakiś kawałek żelaza lub skóry, zaraz chowa i zabiera. Ciągłe przy tym rozmawia sam ze sobą, zadaje sobie pytania i odpowiada na nie, potwierdzając czy też zaprzeczając – chociaż przeczy chętniej. Następnie idzie do domu i tam jeszcze się trochę kręci. Przynoszą mu jedzenie do pokoju, je z dużym apetytem, lubi też wino i piłby go tyle, ile by mu dano. Kiedy skończy posiłek, natychmiast wystawia naczynia za próg, bo chce mieć w pokoju tylko to, co należy do niego. Wszystko inne wyklada przed drzwi. Pozostałą część dnia spędza na rozmowach ze sobą i spacerach po swym pokoiku. Tym, czym może się zajmować całymi dniami, jest jego „Hyperion”. Setki razy, gdy do niego przychodziłem, jeszcze z zewnątrz słyszałem głośne deklamacje.

(Wilhelm Waiblinger, *Friedrich Hölderlins Leben, Dichtung und Wahnsinn*, 1830)

Nieszczęsny Hölderlin, biedny Hölderlin... Choć tak wielokrotnie nazywany, był, zdaje się – przynajmniej od czasu, kiedy znalazł się w wieży – chyba najmniej nieszczęśliwym szaleńcem swej epoki, brutalnie na ogół obchodzącej się z chorymi umysłowo. Po wyniszczających atakach choroby, po ciężkich przejściach w Bordeaux, w Homburgu, w klinice Autenrietha, doświadczył Hölderlin w końcu swoistej łaski losu – w postaci troskliwej pielęgnacji ze strony stolarza Zimmera i jego rodziny. Zwłaszcza że jakiegokolwiek fizycznej opieki poskąpiła pocie własna matka (nigdy go nie odwiedziła w wieży!) czy później, po jej śmierci, rodzeństwo – ograniczając się do

finansowania (szczodrego zresztą, z kapitału pozostałego po przedwczesnym zgonie ojca Hölderlina) tybińskiego „dożywocia” syna i brata. Hölderle – jak nazywali go szwabscy przyjaciele – nie spoglądał z tęsknotą „przez zakratowane okienko swej wieży”, jak można tu i ówdzie wyczytać, bo w żadnym z dużych okien jego pokoju nigdy nie zamontowano krat. NIE BYŁ WIĘŹNIEM SWEJ WIEŻY, choć miejsca w niej, rzeczywiście, za dużo nie miał – wszystkiego jakieś trzynaście metrów kwadratowych. Łóżko, piec, stół, dwa krzesła, półka z książkami, skrzynia przy drzwiach – to całe wyposażenie. Fortepian, na którym Hölderlin potrafił bębnić całymi godzinami, stał w sąsiednim pokoju, służył też córkom gospodarza i innym lokatorom. Poeta często opuszczał jednak „Rundel”, chodził na spacer – nie tylko do mostu i z powrotem, ale i na przykład ze swoim późniejszym pierwszym biografem, przedwcześnie zmarłym w 1830 roku poetą Wilhelmem Waiblingerem, na pobliskie wzgórze Österberg – zbierał z Zimmerami śliwki, grał, śpiewał, czytał, pisał, przyjmował wizyty, popijał wino i piwo, delectował się fajką lub cygarem, zażywał tabakę...

I popadał w coraz większe zapomnienie współczesnych... I coraz mniejszą miał świadomość własnej tożsamości, coraz mniej wiedział, kim jest. Ostatnie wiersze podpisywał nazwiskiem Scardanelli i fantastycznie dął: 1758, 1642...

Jego duch poetycki okazuje się ciągle jeszcze żywy. Zobaczył kiedyś u mnie rysunek jakiejś świątyni i zaraz chciał, bym zrobił taką z drewna. Odrzekłem mu na to, że muszę pracować na chleb, bo nie mam szczęścia żyć w takim filozoficznym spokoju jak on. On mi zaś powiedział: – Ach, jestem przecież takim biednym człowiekiem – i w tej samej minucie napisał mi ołówkiem na desce te oto wersy:

*Linie życia rozmaite być mogą,
Jak granice gór, jak rozstaje dróg.*

*To, czym tu jesteśmy, tam może uzupełnić Bóg
Harmonią, pokojem i wieczną nagrodą³.*

(Ernst Zimmer do Johanny Christianny Gok,
matki Hölderlina, 19 kwietnia 1812)

*

Jego siły fizyczne są ciągle niemałe, stale ma też duży apetyt. Postarzał się trochę na twarzy, stracił bowiem przednie zęby i wargi opadły mu do środka. Nie jest już taki nie-szczęśliwy jak onegdaj, jego dusza uspokoiła się. Również w obejściu z innymi jest miły i uprzejmy. Nie lubi tylko, gdy obcy chcą z nim rozmawiać i gdy mu się przeszkadza. (...)

Rachunek za czas od św. Grzegorza do św. Jakuba:

93 dni a 24	37 f [=guldenów], 12 [grajcarów]
pranie	2, 36
tabaka	1, 33
wino	6
procenta od czynszu	5, 30
świece za całą zimę	
zapomniane w ostatnim	
rachunku	1, 36
cyrulik	1, 30
szewc	1, 48

57 f. 45

(Ernst Zimmer do Heinriki Breunlin,
siostry Hölderlina, 19 lipca 1828)

³ Wiersz w przekładzie Bernarda Antochewicza. Należy jednak dodać, że zarówno ten, jak i dwaj pozostali tłumacze cytowanego wiersza na język polski, Mieczysław Jastrun oraz Andrzej Lam, zapisują słowo „bóg” dużą literą, co jest niezupełnie zgodne z oryginałem, w którym Hölderlin pisał „ein Gott”, z rodzajnikiem nieokreślonym, mając na myśli jakiegoś boga, bliższego zapewne greckiego panteonu niż chrześcijańskiej idei Boga. Por. Fryderyk Hölderlin, *Poezje wybrane*, przeł. i wstępem opatrzył Mieczysław Jastrun, PIW, Warszawa 1964, s. 152 oraz Friedrich Hölderlin, *Poezje*, przeł. i opracował Andrzej Lam, Elipsa, Warszawa 1998, s. 198.

Postać Hölderlina niepokoi od dziesiątków lat. Bibliografia przedmiotowa rośnie, ostatni okres życia poety do czekał się skrajnych ocen. Najbardziej niezwykłą hipotezę postawił pewien francuski monografista, według którego Hölderlin miał... udawać szaleństwo, by uniknąć konsekwencji za swe jakobińskie przekonania. Byłby wtedy chyba najlepszym aktorem świata. Nie wyjść z roli przez trzydzieści sześć lat?!

Ale mnie intryguje bardziej historia wieży – chociaż dzieje osoby i miejsca są tu nierozdzielnie powiązane. Wieża bez swojego głównego lokatora nie stałaby się nigdy symbolem miasta. Ale czy Hölderlin bez wieży byłby postrzegany tak samo?

Za życia poety dom z wieżą czterokrotnie przebudowywano. Już jesienią 1807 powiększono małą alkowę na piętrze od strony ulicy do wymiarów normalnego pokoju mieszkalnego; dwa lata później Zimmer urządził na poddaszu dwa dodatkowe pokoje, jeden od zachodu, drugi od wschodu, po czym przyjął do nich na mieszkanie pierwszych studentów. Odtąd dom przy Bursagasse 6 stał się stacją dla wielu słuchaczy uniwersytetu, z czasem będzie ich tu mieszkać równocześnie kilkunastu w siedmiu pokojach, a dochód z wynajmu przysporzy stolarzowi znaczącego zarobku.

W 1820 roku wieżę podwyższono i pozyskano w ten sposób następny pokój, nad lokum Hölderlina. Wreszcie w 1828 Zimmer zdecydował się zlikwidować swój warsztat i zamienił cały parter domu na pomieszczenia mieszkalne z trzema ogrzewanymi pokojami. Ich układ był zbliżony do stanu dzisiejszego, z długim korytarzem na dole i krętymi schodami na piętro.

Hölderlin żył w przyjaźni z lokatorami Zimmera. Studenci odwiedzali poetę, słuchali jego recytacji, chodzili z nim na spacer. W miarę upływu czasu choroba miała coraz łagodniejszy przebieg. Autor *Hyperiona* żył w „filo-

zoficznym spokoju”, bez ataków szału, ale i bez powrotu świadomości.

Żył długo, pięć lat dłużej niż jego opiekun Ernst Zimmer (po którym obowiązki pielęgnacyjne przejęła córka Charlotte), osiem lat dłużej niż młodszy od Hölderlina doktor Autenrieth, dający niegdyś choremu niewiele szans przeżycia. W końcu przyszedł jednak jego czas. 7 czerwca 1843 o godzinie 23 w amfiteatralnym pokoju o wybielonych ścianach bez jakichkolwiek ozdób duch opuścił na zawsze siedemdziesięcioletnie ciało Hölderlina.

Czcigodny Panie Radco,

mam zaszczyt przekazać Panu bardzo smutną wiadomość o spokojnym zgonie Pańskiego Kochanego Brata. Od kilku dni miał katar, zauważyliśmy też u niego ogólne osłabienie, poszłam więc do profesora Gmelina i przyniosłam lekarstwo. Wieczorem grał jeszcze na fortepianie i jadł kolację w naszym pokoju. Poszedł w końcu do łóżka, ale wkrótce znowu wstał z powodu niepokojów, jaki go męczył. Porozmawiałam z nim, dałam lekarstwo, ale nie polepszyło mu się. Był też przy nim jeden z naszych panów, a drugi czuwał ze mną na zmianę.

Umarł spokojnie, nie walczył ze śmiercią. (...) Pośród tysięcy ludzi żaden chyba nie odszedł tak łagodnie jak Pański Ukochany Brat.

(Charlotte Zimmer do Karla Goka, przyrodniego brata Hölderlina, 7 czerwca 1843)

Historia wieży nie skończyła się wraz ze śmiercią jej lokatora. Historia – i legenda – wieży Hölderlina dopiero się właściwie zaczęła. Najpierw jednak nastąpiła dwudziesto-pięcioletnia przerwa, w domu nic się nie działo, dopóki mieszkała tam Lotte Zimmer. A i poetą nikt się wtedy jeszcze nie interesował, prawie nikt nie czytał jego wierszy. W 1865 roku córka stolarza sprzedała odziedziczoną po rodzicach nieruchomość niejakiemu Sindlingerowi, ten



Wieża Hölderlina, stan obecny.

zaś trzy lata później odsprzedał całość szewcowi Carlowi Friedrichowi Eberhardtowi. Szewc rozbudował dom od strony południowej o dwa małe pokoje, a na miejscu dawnego warsztatu stolarskiego urządził publiczny zakład kąpielowy. Zyskami z łaźni nie cieszył się jednak długo. 14 grudnia 1875 wybuchł pożar, który zniszczył dom i wieżę. Ocalała tylko część parteru, pokój Hölderlina spłonął prawie doszczętnie.

Odbudowany szybko budynek dość znacznie się zmienił. Poprzesuowano niektóre ściany i klatkę schodową, zrobiono nowe wejście. Wieża przybrała po raz pierwszy okrągły kształt, a jej dach wyraźnie oddzielono od reszty poszycia zaostrzonym hełmem. Na architektonicznym projekcie odbudowy pojawiło się po raz pierwszy określenie „Wieża Hölderlina”. W domu Eberhardta zaczęli też wkrótce pojawiać się pierwsi wielbiciele wydobywanego stopniowo z zapomnienia, niczym nasz Norwid, poety. Syn szewca, Fritz Eberhardt, urządził więc niebawem dla szukających śladów i pamiątek po autorze *Hyperiona* „pokój Hölderlina” – ale NA PARTERZE wieży. Współczesne umeblowanie, biedermeierowskie zasłony, frędzlisty obrus na stole nie miały nic wspólnego z autentycznym wyposażeniem mieszkania sprzed pożaru. Ocalały wtedy może ze dwa krzesła. Nic więcej.

Ponieważ zainteresowanie Hölderlinem rosnęło, władze miejskie wydzierżawiły w 1915 roku ów pokój i ustanowiły w nim oficjalną izbę pamięci – Gedenkraum, zaś w sześć lat potem, wsparte ogólnonarodową zbiórką pieniędzy, wykupiły od Eberhardta cały dom i oddały go w administrację Stowarzyszeniu na Rzecz Zachowania Wieży Hölderlina.

Do 1944 roku, do śmierci Eberhardta, który zachował dla siebie w budynku mieszkanie, niewiele się zmieniło w wieży. Odwiedzającym pokazywano nieprawdziwy „pokój Hölderlina” na parterze, przyozdobiony dodatkowo w 1932 roku popiersiem poety dłuta Maximiliana Wittmanna. Po

wojnie w wieży zaczęło gospodarować powstałe w studencie zgonu autora *Hyperiona* Towarzystwo Hölderlinowskie, w 1954 roku zajęło cały parter na swoje biura i niewielką wystawę biograficzną. Ale dopiero w 1978 pokojem Hölderlina stał się jego prawdziwy pokój na pierwszym piętrze. Wystawę w wieży rozszerzono też wtedy i usystematyzowano, nadając jej tytuł „Hölderlin w Tybindze”.

Na tym jednak nie skończyła się historia przywracania wieży Hölderlinowi. W 1984 roku przeprowadzono – ostatni na razie – gruntowny remont, z odsłonięciem części fundamentów i stropów włącznie. Skorygowano zmiany dokonane po pożarze, starając się przywrócić wnętrzem kształt z pierwszej połowy dziewiętnastego wieku. Wieżę pozostawiono jednak okrągłą, zbyt wrosła już w tej formie w pejzaż miasta, by miał sens powrót do dawnego ośmiokątnego kształtu. A i obecne warunki architektoniczne nie pozwoliły na to. Przy schodach pozostawiono tylko odkryty niewielki kawałek pierwotnego fundamentu. Na pamiątkę.

Po chwili kontemplacji albo po zrobieniu zdjęcia z mostu pielgrzym lub turysta schodzi po wąskich schodkach na kamienne nabrzeże Neckaru, które tworzą w tym miejscu resztki murów obronnych, i zbliża się do pomalowanej na ciemnożółto wieży. Obrośnięta na dawniejszych fotografiach dzikim winem, obecnie od strony wschodniej jest odsłonięta. Do wnętrza prowadzą dość ciasne drzwi, za którymi otwiera się długi korytarz wyłożony kwadratami czarno-białej terakoty. Wzdłuż korytarza, na lewo, od strony rzeki, są trzy pokoje; umieszczono w nich stałą wystawę hölderlinowską. Tradycyjne gablotki ze starymi dokumentami, rękopisami, pierwszymi wydaniem poezji, dawnymi rysunkami i zdjęciami. Mniej tradycyjny jest sposób wyeksponowania dwóch cytatów z wierszy Hölderlina: wypisane są wprost na ścianach środkowego po-

koju. Ale przecież nie przychodzi się tu po to, by studiować świadectwa życia i dzieła poety (w tym celu należy się udać do oddalonego o sześćdziesiąt kilometrów od Tybingi Niemieckiego Archiwum Literackiego w Marbach). Przychodzi się do wieży, żeby znaleźć się w pokoju Hölderlina, stanąć przy oknie, wyobrazić sobie dawny widok stąd, zamyślić się nad losem szalonego geniusza. Parter żółtego domu nad Neckarem, urządzone jak większość konwencjonalnych muzeów literackich, wydaje się odbierać nadzieję na możliwość spotkania z duchem miejsca i czasu. Ale to jeszcze nie pokój Hölderlina. Ten jest na pierwszym piętrze.

Na górę wiodą kręcone schody. Drzwi na lewo zamknięte, znajduje się tam dziś pracownia muzeum. Na wprost wejście do sławnego pokoju, do – jak się okazuje – dość niezwykłej „izby pamięci”. POKÓJ HÖLDERLINA JEST ZUPEŁNIE PUSTY. W jasnym, pomalowanym znowu na biało wnętrzu stoją tylko dwa krzesła, niewykluczone, że jeszcze roboty Zimmera. Pod oknem kubek z bukietem kwiatów. Często są to tulipany, jakie zwykł przysyłać do wieży co roku Ludwig Uhland na urodziny poety; często są to zwykłe polne kwiaty, jakie Hölderlin zbierał nad Neckarem. Zawsze są to świeże kwiaty. I nic więcej. Tylko *genius loci*.

Na północnej ścianie wiszą powiększone teksty czterech wierszy napisanych w wieży: *Wiosna, Lato, Jesień, Zima*. I nic więcej.

Trzy okna, z których dziś nie ma rozległego widoku. Rzeka i drzewa. Nic więcej. Tylko *genius loci*.

*Człowiek przegania troskę z duszy zapomnieniem,
Lecz wiosna kwitnie, wspaniała jest zieleń
Niejednej łąki, rozpostarta szeroko,
Gdy błyszcząc spada już w dolinę potok;*

*Góry okryte drzewami i wszędzie się mieni
Światne powietrze w otwartej przestrzeni,
Dolina się daleko w świat wydłuża,
Wieża i stok wspierają się o wzgórza⁴.*

Wieża Hölderlina. Hölderlinturm.

Jesień 1997

⁴ *Wiosna*, przełożył Mieczysław Jastrun.

Dwa teatry w Bayreuth

Na wyjątkowo dużym znaczku¹ wydanym przez pocztę niemiecką z okazji dwieście pięćdziesiątej rocznicy otwarcia opery w Bayreuth przedstawiona jest nie scena, ale widownia. Dokładniej mówiąc: jej tylna część. Trzy piętra łóż, z jedną centralnie położoną na pierwszym poziomie, bogato zdobioną i dużo większą od pozostałych (górne zdobienia sięgają balustrady trzeciej kondygnacji), iście królewską z wyglądu, choć margrabiowską, czyli książęcą, z przeznaczenia. Tylko do niej, oprócz zwykłego wejścia z westybulu, prowadzą dwustronne schody z parteru, umożliwiające składanie w łóży wizyt podczas spektaklu. Fotele wewnątrz umieszczone są między czterema korynckimi kolumnami, pokrytymi zielonym marmurem i złotymi ozdobami o motywach roślinnych. Łoża dzieli się ten sposób na trzy części: większą pośrodku i dwie mniejsze po bokach; te ostatnie od góry dodatkowo nieco obniżone dekoracjami z wielkimi wazami w owalnych ramach – w celu wyeksponowania centralnej części nakrytej baldachimem w kształcie dzwonu. Do jego dolnej krawędzi przymocowano dwa putta, a do szczytu orła z rozpostartymi asymetrycznie skrzydłami i –

¹ O wymiarach 68 x 40 mm.

powyżej – wielką koronę. Po bokach, twarzami zwrócone w stronę orła, znajdują się kobiece figury alegorii sławy i zwycięstwa. Ale to jeszcze nie koniec tego piętrzącego się ku górze przepychu. Cztery kolumny, będące jakby przedłużeniem tych z centralnej łoży, a oddzielające od siebie zwykłe łoże na trzecim piętrze – położone bezpośrednio nad orłem – są dodatkowo ozdobione dalszymi alegorycznymi rzeźbami, choć nieco mniejszymi od poprzednich. Dopiero nad tym wszystkim, już pod samym sklepieniem, dwa amorki przytrzymują opleciony akantami kartusz z umieszczonym w nim stylizowanym napisem: *Pro Friederico et Sophia Iosephus Gallus Bibiena Fecit. Anno Domini MDCCXLVIII*. W ten sposób poznajemy właścicieli łoży i jej budowniczego. „Właściciel” wydaje się tutaj najlepszym słowem. Frankoński margrabia, Fryderyk Wielce Ukochany (taki miał przydomek!), nie kupował przecież biletów, nie abonował miejsc ani nie korzystał z zaproszeń. Przybywał i zasiadał jako gospodarz, choć przede wszystkim jako mąż swojej żony, bo to księżna Wilhelmina Zofia, *notabene* córka króla pruskiego Fryderyka Wilhelma I (dzięki temu nad łożą mogła być umieszczona korona) i siostra znanego nam nieźle „skądinąd” Fryderyka Wielkiego, inicjowała wszelkie artystyczne poczynania na dworze w Bayreuth. Sama zresztą komponowała, pisała sztuki, a nawet w nich grywała. Giuseppe Galli-Bibiena (któż z historyków teatru nie zna tego nazwiska!) był zaś w rzeczy samej budowniczym łoży. Nie projektował całej opery, lecz tylko jej wnętrze.

Scena teatralna, niewidoczna na znaczku, znajduje się idealnie naprzeciwko, w odległości 26 metrów od książęcej łoży, choć może lepiej tu powiedzieć – od książęcej... sceny. Publiczność siedząca w zwykłych łożach bocznych miała równie dobrą widoczność na obie strony: scenę operową z przodu i dworską z tyłu. Publiczność parteru, której miejsca ustawiono frontem do rampy scenicznej, nie była jednak bardzo poszkodowana, bo margrabia z margrabiną lubili równie często zasiadać z przodu, przed pierwszym rze-



Widownia teatru operowego w Bayreuth, z lożą książęcą
w centrum, stan obecny.

dem, na dwóch połączonych fotelach pokrytych błękitnym aksamitem. Wydaje się, że – o dziwo! – bardziej lubili oglądać niż być oglądanymi.

Oczywiście nie tylko miłość sztuki kierowała potrzebą wzniesienia opery w Bayreuth w 1748 roku. Barok miał się ku końcowi, ale był jeszcze na tyle silny, by funkcje reprezentacyjno-dekoracyjne wysuwać na czoło tego typu przedsięwzięć. Na początku był więc ślub, ślub jedynej córki margrabiowskiej pary, Elżbiety, z księciem wirtemberskim Karolem II Eugeniuszem. To przede wszystkim dla uczczenia tego wydarzenia zatrudniono architekta Josepha Saint-Pierre'a i dekoratora Giuseppe Galli-Bibienę wraz z synem Carlem. Na teatr zbudowany z powodów czysto artystycznych położona nad Czerwonym Menem ówczesna stolica Marchii Frankońskiej musiała poczekać ponad sto dwadzieścia lat, musiała poczekać na Richarda Wagnera.

Wagner przejeżdżał kiedyś przez Bayreuth w 1835 roku i zapamiętał urodę miasta, oświetlonego promieniami zachodzącego słońca. Po latach dał wyraz miłemu wspomnieniu w autobiografii *Mein Leben* (Moje życie), dyktowanej Cosimie w szwajcarskim Tribschen, gdzie mieszkał w latach 1866–1872, a więc bezpośrednio przed nie przewidywaną wtedy jeszcze w ogóle przeprowadzką do Frankonii. Dopiero po ostatecznym załamaniu się projektu wzniesienia Festspielhausu w Monachium i po nieporozumieniach z królem Ludwikiem II Bawarskim, związanych z prapremierowym wykonaniem w stolicy Bawarii – wbrew woli autora – *Złota Renu* 22 września 1869, zaczął Wagner rozglądać się za najwłaściwszym miejscem dla swego *Ringu*, poza zgłękiem wielkiego miasta i poza światem intryg teatrów dworskich, równocześnie zaś za miejscem dla urzeczywistnienia swojej idei teatralnego święta. Dyrygent Hans Richter zwrócił wtedy uwagę kompozytora na ogromną scenę opery w Bayreuth; w marcu 1870, po przestudiowaniu encyklopedycznego artykułu o frankońskim

mieście, Wagner uznał, że to może być właśnie to. W miarę centralne położenie w zjednoczonej Rzeszy, ale w obrębie Bawarii (blisko więc głównego protektora), oddalenie od metropolii i centrów polityczno-towarzyskich, ledwie dwadzieścia tysięcy mieszkańców, niewielkie tradycje teatralne – wszystko przemawiało za tym wyborem.

16 kwietnia 1871, osiem miesięcy po ślubie z rozwiedzioną wreszcie prawnie z Hansem von Bülowem Cosimą, trzy miesiące po wersalskiej proklamacji Cesarstwa Niemieckiego pod berłem Wilhelma I, Richard Wagner przyjechał *incognito* do Bayreuth i od razu udał się do tamtejszej opery. Scena, mająca rzeczywiście więcej niż „dwadzieścia kroków wszerz i wzdłuż”, nawet mu się spodobała, ale wydłużona w kształcie dzwonu widownia z trzema piętrami bogato zdobionych łóż, w tym margrabiowską, otoczoną amorkami i muzami, stanowiła właściwie kwintesencję tego, za co autor *Pierścienia* nienawidził ówczesnego teatru. Nie mówiąc już o orkiestrze, umieszczonej na poziomie parteru, bez żadnego zagłębienia w podłodze, skutecznie więc rozpraszającej widza swą rzucającą się w oczy obecnością. Nie, to zdecydowanie nie było to! Nie spodobała się Wagnerowi opera, ale spodobało mu się miasto. A więc tak! Jeśli istniejący teatr jest nieodpowiedni, trzeba zbudować nowy. Już miesiąc później, 12 maja, padła proklamacja festiwalu – Bayreuther Festspiele. Władze miejskie dowiedziały się o tym zamiarze wprawdzie dopiero w listopadzie, ale natychmiast zaofiarowały pod przyszły Festspielhaus działkę budowlaną. W środę 22 maja 1872, w dzień swoich pięćdziesiątych dziewiątych urodzin, w otoczeniu wielu gości, wśród których był jeszcze oczywiście Nietzsche, przy dźwiękach własnego marsza, skomponowanego kiedyś na cześć bawarskiego króla, ale w strugach ulewnego deszczu, Wagner położył kamień węgielny pod swój teatr. Odręcznie napisany przez Mistrza dwuwiersz zastąpił akt erekcyjny:

*Hier schließ ich ein Geheimnis ein, da ruh' es viele
hundert Jahr':
so lange es verwahrt der Stein, macht es der Welt
sich offenbar².*

Uroczystość została dopełniona popołudniowym koncertem w margrabiowskiej operze. *Dziwiątą* Beethovena dyrygował Wagner. Stojąc przed orkiestrą, nie musiał patrzeć na złotem zdobione łoże. Przed oczyma miał scenę, zapewne nawet nie tamtejszą, ale swoją, przyszłą. Przed oczyma duszy.

W Festspielhausie najważniejsza miała być scena (i, oczywiście, akustyka), ale łoża królewskiej także nie zabrakło. To jedyny wspólny element obu teatrów w Bayreuth, poza tym wszystko je dzieli: ideologia powstania, wygląd zewnętrzny, wystrój wnętrza, wyposażenie sceny, kształt widowni i jej skład społeczny, wreszcie repertuar oraz... odległość: dwa kilometry. Właściwie trudno byłoby wymyślić większe zróżnicowanie. Łoża w Festspielhausie jedynie z nazwy zresztą przypomina tę operową. Jest bardzo skromna, chociaż na pierwszym przedstawieniu zasiadł w niej nie tylko król, ale nawet cesarz, ba, dwóch cesarzy: niemiecki Wilhelm I i brazylijski Dom Pedro II. Zmieściło się też w niej wtedy kilku książąt: badeński, meklemburski oraz saksońsko-weimarski. (Łoża nie miała *notabene* przytwierdzonych na stałe foteli, liczbę miejsc zmieniano więc w zależności od potrzeb). Tylko Wagnerowski protektor, Ludwik II Bawarski był nieobecny; obejrzał próbę generalną i pospieszenie wyjechał do Monachium, by uniknąć spotkania ze swoim niedawnym pruskim przeciwnikiem.

Żeby opisać łożę margrabiego w operze, wystarczyło się jej dobrze przyjrzeć, obejrzeć ilustracje i fotografie, po-

² Por. Heinrich Habel, *Festspielhaus und Wahnfried. Geplante und ausgeführte Bauten Richard Wagners*, Prestel-Verlag, München 1985, s. 344.

patrzeć na okolicznościowy znaczek pocztowy. Jej wygląd nie zmienił się, cała opera jest zresztą jednym z niewielu zachowanych w tak znakomitym stanie barokowych budynków teatralnych w Europie. Inaczej z Festspielhausem, który – mimo że ponad sto dwadzieścia lat młodszy – kilkakrotnie przebudowywano i rozbudowywano od zewnątrz, choć znowu nie aż tak gruntownie. Poprawki dotyczyły również łoży, zwanej księżęcą lub królewską. Ale przecież właściwie od początku nie powinno jej w ogóle być! Nie wszystkie jednak idee demokratycznego widowiska, wyrażone najpełniej przez Wagnera w znanym programowym wstępie do *Pierścienia Nibelunga*, datowanym „Wiedeń, 1862”, a wydanym w 1863 roku, udało się zrealizować w 1876 roku, w momencie otwarcia teatru na Zielonym Wzgórzu. Zasadnicze pragnienie Wagnera z dawnych lat zostało wszakże spełnione, przynajmniej od strony technicznej. Amfiteatralna widownia zapewniająca dobrą widoczność ze wszystkich miejsc była absolutną nowością w ówczesnym budownictwie teatralno-operowym. Jedyne architektoniczne ustępstwo (do ustępstw społecznych trzeba będzie jeszcze powrócić) dawnego rewolucjonisty na rzecz klasowego rozwarstwienia społeczeństwa drugiej połowy dziewiętnastego wieku stanowiła właśnie królewska łoża. Była też jakby formą rewanżu wobec Ludwika II Bawarskiego, bez którego pożyczki (spłaconej później co do grosza) budowa nie zostałaby ukończona w terminie. Choć prawdziwą łożą stała się dopiero po przebudowie w 1882. Na inauguracji jeszcze nie wyodrębniono środkowej części tylnej kolumnady; między tworzącymi ją jedenastoma kolumnami nie było bocznych ścianek. Jedną trzecią wysokości, licząc od góry, zajmował balkon-galeria, a dolne łoże ozdobiono zwisającymi spod balkonu udrapowanymi na boki zasłonami, co nadawało całości reprezentacyjny charakter. Nikt z pozostałych widzów nie mógł też zrobić sobie z łoży sceny: znajdowała się ona zupełnie z tyłu, za ostatnim rzędem zwykłych foteli. Łoży



Festspielhaus Richarda Wagnera, fragment widowni.

bocznych nie było, wszyscy byli więc odwrócenii do cesarzy plecami. Zwyczajowe lornetowanie współwidzów po rozpoczęciu przedstawienia natrafiło na premierze, dodajmy, na dodatkową niespodziewaną przeszkodę techniczną, przypadkową zresztą, jak później tłumaczył sam Wagner³. Na widowni zgasło mianowicie światło. Zupełnie! Spowodowane to zostało trudnościami z wyregulowaniem montowanej w ostatniej chwili gazowej instalacji, trudnościami przewyższonymi po kilku dniach; na następnych spektaklach panował na sali już tylko półmrok. Ale 13 sierpnia 1876 szok był duży. Ciemności zakryły wszak nie tylko „zwykłych” widzów, ale i cesarzy!

Dopiero sześć lat po otwarciu, przed drugim festiwałem, na którym głównym gościem miał być wyczekiwany daremnie Ludwik Bawarski, wydzielono główną lożę *sensu stricto*, między środkowymi kolumnami, a od tyłu, pośrodku południowej fasady, dobudowano do niej od zewnątrz niewielki budynek (15,6 x 7 m, wysoki zaś na 12 m), zwany Königsbau, mieszczący oddzielną klatkę schodową z bezpośrednim wejściem do głównej loży, salon, pokój dla dyżurnego policjanta (gdzie zwykła później wypoczywać w antraktach Winifred Wagner, czasami może rzeczywiście zmęczona zabawianiem swego częstego gościa i przyjaciela, Adolfa Hitlera), pokój dla służby, niewielką garderobę oraz toaletę. W 1930 roku cała tylna kolumnada została podzielona w połowie wysokości i w ten sposób powstała druga, górna galeria z niewielkimi lożami prasowymi, dzisiaj zwanymi po prostu balkonem. Obniżona w ten sposób środkowa loża straciła swój reprezentacyjny charakter i stała się jedną z wielu. Właścicielem tej loży, mimo że nazywano ją książęcą lub królewską, nigdy nie był król.

³ Por. Richard Wagner, *Ein Rückblick auf die Bühnenfestspiele des Jahres 1876* (w:) *Der Festspielhügel. Richard Wagners Werk in Bayreuth 1876–1976*, hrsg. von Herbert Barth, dtv, München 1976, s. 57.

Król bywał w niej rzadkim gościem, a loża należała i należy do dzisiaj do rodziny Wagnera. Jest to więc jedyna loża, która ma właściciela, tak jak w operze Wilhelminy. W przeciwieństwie jednak do tamtego budynku, tu brak jakichkolwiek ozdób, podobnie jak i na całej widowni. Jedynym wyróżnikiem pozostały dwie nieco bardziej okazałe kolumny, odgraniczające główną lożę od pozostałych. Rząd kolumn korynckich przylegał też do obu bocznych ścian sali, co odpowiadało antycznym zamyśleniom Richarda Wagnera. Wszelkie inne ozdoby w Festspielhausie, wewnątrz i na zewnątrz, autor *Parsifala* tępił osobiście. Na oryginalnym planie głównej fasady zachowała się jego odręczna notatka: *Die Ornamente fort!* Widz miał się patrzeć na scenę, a nie rozglądać po sali. Zupełnie inaczej więc niż w operze Wilhelminy. Tam przedstawienia odgrywane na widowni były, zdaje się, ciekawsze od spektakli scenicznych. Po tych ostatnich pozostały często tylko tytuły. Albo i to nie. Z trudem na przykład daje się opisać inaugurację, która nastąpiła nazajutrz po ślubie margrabiowskiej córki. Więcej wiadomo o malowanej przez Carla Galli-Bibienę kurtynie, która poszła w górę 23 września 1748, niż o dwóch operach i kilku francuskich komediach zagranych podczas tych kilkudniowych dworskich uroczystości. Wśród nielicznych źródeł, jakie mamy tu do dyspozycji, zachował się opis jednego z następnych wieczorów, 27 września, pióra Wilhelma Friedricha Schönhaara, sekretarza marszałka dworu pana młodego. Ale nie jest to bynajmniej recenzja czy kronika teatralna. Jest to kronika towarzyska: *Wieczorem dano w nowej operze francuską komedię, zwaną „Igraszki trafu i miłości”.* *Potem cały teatr oświetlono wieloma tysiącami świec, a na scenie przygotowano ozdobny stół na 80 osób w kształcie litery F. Serwowano 56 potraw, nie licząc drobnej słodkiej konfekcji. Na parterze był jeszcze jeden stół na 30 osób, przy którym zaleźli miejsce pozostali kawalerowie i oficerowie. Podczas posiłku przez scenę przeszedł wspaniały korowód, przedstawiający*

cztery strony świata. Jego uczestnicy wręczyli kosztowne prezenty od zamiejscowych książęcych panów⁴. Dwa dni później sprawozdawca donosił, że podczas *Artaserse* Johanna Adolfa Hassego, zaangażowanego następnie w Bayreuth na stałe (wraz z żoną, słynną śpiewaczką Faustyną Bordoni), posilano się w łóżach, co weszło w zwyczaj i w następnych latach, aczkolwiek nie na co dzień, ale na przykład z okazji jakiejś dostojnej wizyty. Całą operę potrafiąco też zamienić w salę balową, przykrywając parter i orkiestrę deskami na poziomie sceny. Bale w operze nie były i nie są zresztą niczym nadzwyczajnym. W Wiedniu odbywa się taki co roku do dziś.

Co jeszcze grano w Bayreuth za czasów Wilhelminy? Niewiele, choćby dlatego, że z powodu trudności z ogrzewaniem operę wykorzystywano zasadniczo tylko latem. Kroniki podają jedynie kilka tytułów włoskich oper i francuskich baletów. Wystawiano też dziełka samej margrabinny, na przykład jej opracowanie Wolterowskiego dramatu *Semiramis* albo własny utwór pt. *Amaltea*, do którego prospekty malował Carlo Bibiena.

Wilhelmina umarła w dziesięć lat po otwarciu opery, małżonek odprawił śpiewaków i w ten sposób krótki okres świetności teatru przeminął. W 1769 roku następca Fryderyka Wielce Ukochanego przeniósł dwór do niedalekiego Ansbach, w operze zabrakło więc publiczności. Od tej pory przedstawienia odbywały się okazjonalnie, kiedy do miasta trafiała jakaś wędrowna trupa aktorska. Zmienił się też gust i następne pokolenie już się operą w Bayreuth nie zachwycało. Wilhelm Heinrich Wackenroder, który wraz z Ludwigiem Tieckiem odbył w 1793 roku podróż po Frankonii, zanotował swoje wrażenia: *Opera, z bardzo dużym, nieciekawym balkonem na zewnątrz, w środku [jest]*

⁴ Cyt. wg: *Markgräfliches Opernhaus Bayreuth. Amtlicher Führer*, bearb. von Luisa Hager und Lorenz Seelig, München 1991, s. 11.

*bogato i pysznie zdobiona złotem, ale jakże to staromodne i pozbawione smaku*⁵.

Repertuar Festspielhausu znany jest z najdrobniejszymi szczegółami od pierwszego dnia do dzisiaj. Jest on zresztą dość, by tak rzec, ograniczony. Czy jednak 13 sierpnia 1876 wszystkie oczy były tam skierowane wyłącznie na scenę, czy na widowni nie odbywały się naprawdę żadne przedstawienia, tak jak tego chciał Wagner (zwłaszcza ten dawniejszy Wagner, socjalista i demokrat)? Oczywiście nie. Przedstawienie na widowni zaczęło się nawet jeszcze przed rozsunięciem kurtyny. Rozsunięciem, a nie podniesieniem, podkreślmy, bo sposób jej otwarcia był nowością: na boki, z równoczesnym podbieraniem fałdów do góry na ukos, zamiast pionowo w górę, jak w innych teatrach.

Najobszerniejszą recenzję zachowań premierowej publiczności *Ringu* opublikował wpływowy, ale i złośliwy krytyk berlińskiej „Nationalzeitung”, Karl Frenzel, ironizując przy okazji, że zamierzone oddzielenie sztuki od życia codziennego i zgiełku miasta (Festspielhaus zbudowano wszak na wzgórzu pod lasem, z dala od centrum) okazało się niemożliwe. *Jakież barwne widowisko rozgrywało się w wielkich namiotach restauracyjnych i na placu przed teatrem [w którym ze względów oszczędnościowych nie było foyer – przyp. W.D.] przed rozpoczęciem oraz w przerwach przedstawienia. Gawędzono ze sobą, wymieniano ukłony, dopalano cygara, dopijano butelki. «Kim jest ta dama w białym jedwabiu, z diademem na głowie? Nie, z tym trenem! O, hrabia Andrassy! Patrz, tamta! Pięćdziesiątka na karku, a robi z siebie kokietkę! A ten to poplecznik czy przeciwnik Mistrza? Czy zmęczony człowiek może tu coś powiedzieć, czy tylko entuzjasta muzyki?» Tak oto przebiegała głośna wymiana pytań i odpowiedzi. Skrzyżowanie teatralnego foyer z promenadą kurortu. Ani śladu namaszczenia czy zamyślenia. Widzowie, obecni na „Anty-*

⁵ Cyt. wg: *Reisen nach Bayreuth. Berichte aus acht Jahrhunderten*, hrsg. von Ingo Toussaint, Georg Olms Verlag, Hildesheim-Zürich-New York 1994, s. 148.

gonie” w *Operze Berlińskiej*, są o wiele poważniejsi i skupieni niż to kolorowe, rozgadane, dowcipne towarzystwo⁶.

Protagonistów premiery *Złota Renu*, tych z łoży królewskiej, a nie ze sceny, już wymieniałem. Kiedy pojawił się Wilhelm I, publiczność – po kilku sekundach zaskoczenia spowodowanego cywilnym ubiorem cesarza – zgotowała mu owację, a on kłaniał się z zadowoleniem. Może dobiegły go szepty przejętych dam: *Ach, jaki to ciągle piękny mężczyzna!* Mężczyzna wówczas 79-letni. Cesarz brazylijski nie miał porównywalnego *entrée*. Był w Bayreuth nieznanym.

Trzeba tu jednak wtrącić, że później nastrój na widowni zmienił się dość radykalnie, nie bez wpływu administracji Festspielhausu, która, zgorszona zachowaniem widzów inauguracji, apelowała o powstrzymanie się od wyrazów aplauzu – z szacunku dla sztuki, ma się rozumieć. Apel wydano zresztą wbrew Wagnerowi; ten po drugim akcie *Parsifala* w 1882 roku zżymał się: *Co za osty! Zabraniają oklasków i teraz nie wiem, czy to się w ogóle publiczności podoba*⁷. Od śmierci Mistrza – w pół roku później – nastrój nabożeństwa wokół przedstawień, zwłaszcza zaś *Parsifala*, ostatniego dzieła, traktowanego jako swoiste requiem, przybierał na sile, proporcjonalnie do rozwoju wagnerowskiego kultu. Igor Strawieński, oglądający Festspiele w 1912 roku, zapisał we wspomnieniach, że czuł się na widowni jak w krematorium⁸. I – podobnie jak wielu innych nie-wagnerystów – nie był odosobniony w swoich odczuciach. Pisano już o tym wystarczająco dużo.

Cytowany wyżej Frenzel zajął się też składem społecznym widowni w sposób bardziej pryncypialny, obnażając

⁶ Cyt. wg: *Reisen nach Bayreuth*, op. cit., s. 257.

⁷ Taką wypowiedź Mistrza zanotował jego przyjaciel i sponsor, monachijski sekretarz dworu, Ludwig von Bürkel. Por.: Hans Mayer, *Richard Wagner in Bayreuth 1876–1976*, Suhrkamp, Stuttgart–Zürich 1978, s. 36.

⁸ Por. *Der Festspielhügel...*, op. cit., s. 116.

pozorny tylko demokratyzm wagnerowskiej idei: *Sztuka nie może i nie powinna być przywilejem bogaczy i próżniaków. Kto inny bowiem, jak nie bogacz lub próżniak, może sobie pozwolić w obecnych ciężkich czasach na poświęcenie sześciu dni życia na wagnerowski teatr? Nauczyciel, docent prywatny, wykształcony, ale nie najlepiej sytuowany miłośnik sztuki? Rzemieślnik, który lubi w niedziele grywać na skrzypcach albo na flecie? Nauczycielka fortepianu, śpiewaczka? Czy mogą oni wydać po trzysta marek na miejsce w amfiteatrze? Nie i jeszcze raz nie!*

To prawda. Wagner marzył kiedyś o bezpłatnym wstępie do Festspielhausu, zgodnie z ideą demokratycznego święta wzorowanego na starożytnych Atenach, ale szybko musiał pozbyć się złudzeń w tej mierze, najpierw częściowo, a później całkowicie. By móc choć ograniczonej liczbie widzów zaoferować wolny wstęp, na początku 1872 roku, jeszcze przed położeniem kamienia węgielnego, powołał tzw. Patronat, który był formą subskrypcji teatralnej: wpłata 300 talarów (czyli 900 marek) miała gwarantować miejsce na wszystkie przedstawienia. Wyemitowano 1000 takich bonów subskrypcyjnych, aby z wpływów z ich sprzedaży finansować budowę. Pozostałe 500 miejsc w amfiteatrze chciał Wagner dzięki temu rozdać za darmo. W ciągu roku zdołano sprzedać jednak ledwie jedną trzecią bonów. Proszony o wsparcie Bismarck w ogóle nie zareagował, na otwartą odezwę do narodu z prośbą o datki odpowiedziało zaś tylko kilku studentów z Getyngi, wpłacając łącznie... 6 talarów. Dopiero kiedy przedsięwzięciu zagroziła plajta, na ratunek pospieszył z kredytem, nie wystarczającym zresztą na pokrycie wszystkich wydatków, Ludwik II. O wolnym wstępie dla kogokolwiek, no może z wyjątkiem... cesarza, nie mogło już być mowy. W ten sposób drogie bilety na inaugurację znalazły się po prostu w kasie. I nie wszystkie zostały wykupione. Ostateczny deficyt wyniósł w 1876 roku 148 tysięcy marek – do pokrycia przez Richarda Wagnera. Jeszcze po zakończeniu pierwszego festiwalu i po otrzymaniu końcowego rozlicze-

nia, kompozytor próbował ocalić swoją początkową ideę (oraz, dodajmy, swoje konto) propozycją przejęcia Festspielhausu przez naród, *scil.* Królestwo Bawarii albo Rzeszę. Państwowa roczna dotacja w wysokości 100 tysięcy mogłaby wtedy pozwolić na oddanie części miejsc gorzej sytuowanym miłośnikom muzyki za darmo. List z 21 października 1876, skierowany w tej sprawie do Ludwika II, pozostał jednak bez odpowiedzi. Z powodu deficytu teatr stał przez sześć następnych lat pusty. Na drugim festiwalu, na szesnastu spektaklach *Parsifala* w okresie od 26 lipca do 29 sierpnia 1882, widownię znowu wypełnili w przeważającej mierze dobrze płacący za bilety „bogaci próżniacy”. Resztkę pierwotnego zamysłu udało się mimo wszystko ocalić. Z pomocą młodego fabrykanta z Worms, świeżo pozyskanego dla idei festiwalu Friedricha Schöna, założył Wagner fundację, która zaczęła przyznawać stypendia na pokrycie kosztów uczestnictwa w przedstawieniach. „Richard-Wagner-Stipendienstiftung” działa do dzisiaj. Do dzisiaj też zniżkę i pierwszeństwo przy zakupie biletów mają mieszkańcy Bayreuth⁹.

Berliński krytyk Karl Frenzel w sierpniu 1876 tego wszystkiego jeszcze nie wiedział. Podobnie jak Piotr Czajkowski, jeden z nielicznych ówczesnych kompozytorów obecnych na premierze (większości sław, by wymienić chociaż Brahmsa, Gounoda czy Verdiego, jednak zabrakło) i autor sprawozdania z inauguracji, wprawdzie nie tak nastawiony jak artykuł berlińskiego krytyka, ale nie mniej złośliwego. Współczesny antologista zatytułował wybrany przez siebie fragment relacji rosyjskiego muzyka *Zwycięstwo pieczonych kartofli nad leitmotivami Wagnera*¹⁰. Nie

⁹ Trzeba w tym miejscu dodać, że po latach znalazł się jednak ktoś, kto mógł sobie pozwolić na całkowite wcielenie w życie Wagnerowskiego pragnienia demokratycznego święta z bezpłatnym wstępem dla szerokiej publiczności. Był to Adolf Hitler, którego kancelaria wykupywała bilety na wojenne Festspiele i nagradzała nimi rannych żołnierzy, przodujących robotników przemysłu zbrojeniowego oraz wzorowych chłopów.

¹⁰ Por. *Reisen nach Bayreuth*, op. cit., s. 263.

bez racji. Czajkowski szczegółowo opisał bowiem problemy organizacyjne z zakwaterowaniem i wyżywieniem ponad półtora tysiąca gości, przedstawienia uznał zaś za dość nudne (z wyjątkiem kilku muzycznych fragmentów, które go oczarowały). Cóż, przed kilku laty powołano na Uniwersytecie w Bayreuth zespół naukowy badający kulturową rolę jedzenia. Raport Czajkowskiego znalazł się tam zapewne wśród uważnie studiowanych źródeł.

Ani pierwszy, ani żaden następny festiwal wagnerowski nie jest jednak tematem tego szkicu. Chociaż więc kuszą inne jeszcze recenzje i smakowite anegdoty dotyczące inauguracji, trzeba nam odwrócić się plecami od Festspielhausu – co przyjdzie bez trudu ze względu na szpetotę przypominającego z zewnątrz ogromną stodołę budynku z czerwonej cegły¹¹, projektowanego przez lipskiego architekta Otto Brückwalda według pierwotnych planów Gottfrieda Sempera, nie zrealizowanych w Monachium – i wrócić do centrum miasta Aleją Siegfrieda Wagnera, ulicami Nibelungów, Karola Marksa (czyż to nie piękne zestawienie?), a następnie, po przecięciu Ringu Hohenzollernów, Szkolną i Maksymiliana dojsć do Operowej. Tu, jak łatwo zgadnąć, znajduje się opera¹². Ta, w odróżnieniu od wolno stojącego na wzgórzu teatru Wagnera (dziś już przysłoniętego jednak przez wyrosłe drzewa), nie rzuca się specjalnie w oczy. Wbudowano ją w ciąg dość podobnych dwupiętrowych budynków, pochodzących z nieco wcześniejszego okresu. Bezpośrednio po lewej stronie stał gmach reduty, mieszczący w tylnej części także salę teatralną dla zespołu komedii, po prawej nieco mniej reprezentacyjna kamienica z tego sa-

¹¹ Budynek może też budzić skojarzenia industrialne. Romain Rolland porównywał go na przykład do fabryki. Por. op. cit., s. 276. Są jednak i tacy, którzy styl Festspielhausu nazywają neorenesansowym.

¹² Na marginesie można jeszcze wspomnieć, że spod opery jest już niedaleko do willi Wagnera „Wahnfried” i do miejsca jego ostatniego spoczynku w ogrodzie dawnego domostwa – ale to temat na oddzielne opowiadanie.

mego ciosanego kamienia. Fasada opery, w porównaniu z przepychem wnętrza, jest dość skromna. Pierwszą kondygnację, na poziomie ulicy, tworzą wejścia: w środkowym ryzalicie troje dwuskrzydłowych drzwi z półokrągłymi portalami, po bokach zaś jeszcze pojedyncze zwykłe – wszystkie tego samego szaroniebieskiego koloru. Nad głównym wejściem długi balkon, z którego wyrastają cztery kolumny podtrzymujące górny gzyms z balustradą. Na balustradzie architekt Joseph Saint-Pierre ustawił, zgodnie z klasycyzującymi gustami epoki, rząd kamiennych figur roboty nadwornego rzeźbiarza w Bayreuth, Johanna Georga Zieglera: sześć muz w towarzystwie Apolla i Minerwy. To właściwie jedyna ozdoba frontonu.

Wilhelmina z małżonkiem zajeżdżali do teatru zapewne powozem, dzisiaj dojazd jest utrudniony, bo ulica Operowa należy do miejskiej strefy pieszej: ani dojechać, ani zaparkować samochodu tam nie można. Współcześnie budynek jest zresztą rzadko wykorzystywany, a o stałym zespole artystycznym nie ma mowy...

Niepozorny od frontu gmach rozrasta się niespodzianie w głąb. Ma 72 metry długości! Na scenę przypadało z tego pierwotnie więcej niż na widownię: 26 metrów (pamiętamy, że to właśnie wielkość sceny utkwiła w pamięci Hansa Richtera, kiedy polecał Bayreuth uwadze Wagnera). Resztę zajmował z jednej strony westybul, z drugiej nie było zaś żadnego zaplecza, wychodziło się wprost na ulicę, co znakomicie ułatwiało też wnoszenie i wnoszenie dekoracji. Dopiero w późniejszym czasie scena została trochę zmniejszona, wygospodarowano za nią trochę miejsca na garderoby i magazyn.

Markgräfliches Opernhaus okazał się nie tylko udaną teatralnie, ale również szczęśliwą budowlą, *notabene* nie tylko dla siebie. Drewniane wnętrza opery uniknęło w ciągu wieków największej plagi dawniejszego budownictwa teatralnego: pożaru. Dzięki operze zaś uniknęła z kolei –

niecałe dwieście lat później – podłożenia ognia sąsiadująca z nią od tyłu synagoga; narodowi socjaliści byli, jak wiadomo, miłośnikami sztuki (szczególnego rodzaju, co prawda); nie chcąc narażać najładniejszego budynku w mieście, zadowolili się w 1938 zniszczeniem wnętrza bożnicy. Omięły też operę, podobnie jak i Festspielhaus, alianckie bomby, mimo że miasto stało się celem nalotów w kwietniu 1945. Trafiony i częściowo zniszczony został jednak dom Wagnera, willa „Wahnfried”, położona kilkaset metrów dalej, na skraju parku Hofgarten. Kiedy w 1976 roku otwierano w niej muzeum, wnuk Richarda, Wolfgang, powiedział, mając zapewne w pamięci nie tylko działalność i sympatie swojej matki, członkini NSDAP już od 1923: *Myślę, że bomba musiała tu spaść*¹³

Nie widziałem żadnego przedstawienia w operze ani w Festspielhausie, dlatego wolałem opisać tylko miejsca. Miejsca, o których zacząłem myśleć łącznie już tam, w Bayreuth, kiedy usiadłem na chwilę w książęcej łoży w operze, a potem na jednym z niewygodnych krzeseł na widowni Festspielhausu. Zacząłem myśleć o miejscach, nie o teatrach. W operze rozglądałem się z ciekawością, odruchowo szukając jednak w tym wnętrzu choćby małego skrawka, na którym można by zatrzymać wzrok, nie narażając oka na atak złoceń, malowideł, muz i amorków. Jedyнным takim elementem był pusty otwór sceny, chociaż w tle majaczyły iluzjonistyczne zastawki. Po chwili na widownię wkroczyła z przewodnikiem wycieczka. Wtedy stało się jasne, że dzisiaj taki teatr może rzeczywiście być tylko muzeum. Martwym muzeum barokowej architektury teatralnej albo żywym muzeum barokowej opery, bo od czasu do czasu takowe się tutaj grywa. Richard Wagner miał rację,

¹³ Cyt. wg: Oswald Georg Bauer, «*Ich habe nicht geglaubt, dass sie es zustande bringen werden*». *Die Geschichte der Bayreuther Festspiele (w:) Wagner in Bayreuth. Eine Dokumentation*, Philips Classics Productions, Baarn 1992, s. 45.

kiedy ponad sto lat temu odrzucił możliwość wystawienia w tych murach swoich dramatów muzycznych. To już wtedy było muzeum. Nie wiedział jednak, że zbudowany przez niego potem konkurencyjny gmach także szybko przestanie być teatrem i stanie się co prawda nie muzeum, ale świątynią, wpuszczającą do swego surowego wnętrza limitowaną liczbę wyznawców raz w roku, latem, na Festspiele.

Wszystko wskazuje na to, że osiemdziesiąt tysięcy i uniwersyteckie dzisiaj Bayreuth potrzebuje trzeciego teatru. Teatru.

Lipiec 1998

Kamień Nietzschego

*Tu siedziałem, czekając, czekając – lecz na nic,
Poza dobrem i poza złem, światłem bez granic,*

*To cieniem się radując, cały grą jedynie,
Falą, południem, czasem, co bez celu płynie.*

*Wtem, przyjaciółko, jedno dwojgiem stało się –
– I Zaratustra przeszedł mimo obok mnie...*

(Friedrich Nietzsche, *Sils-Maria*, przeł. Leopold Staff)

1.

Od początku 1879 roku bóle głowy stają się nie do zniesienia, o wykładach nie ma mowy. Sześć lat zmagania z nawracającymi coraz częściej, niezwykle intensywnej migrenami nie przynosi żadnej poprawy, przeciwnie – jest coraz gorzej. Po wielu krótszych lub dłuższych urlopach zdrowotnych, po wielu bezowocnych próbach powrotu do dydaktyki, w maju 35-letni Friedrich Nietzsche definitywnie składa swoją profesurę na uniwersytecie bazylejskim. Rząd kantonalny przyznaje mu rentę w wysokości tysiąca fran-

ków rocznie. Drugi tysiąc przyjaciele wyjednali dla niego w Funduszu Heuslera, przeznaczonym, wedle zapisu testamentowego donatora, na wspomaganie niezdolnych do pracy uczonych i ich rodzin, a na trzeci złożyli się uniwersyteccy koledzy zrzeszeni w Stowarzyszeniu Akademickim. Trzy tysiące rocznie było wówczas sumą godziwą, co prawda o półtora tysiąca franków mniejszą od wcześniejszych regularnych poborów, ale z powodzeniem wystarczającą zarówno na życie, jak i na podróże w obsesyjnym poszukiwaniu lepszego klimatu. *Z miejscowościami (...) prowadzę teraz same eksperymenty, zwykle kończy się to fatalnie – wchodzi w grę uwarunkowania, które tylko dla mojej natury są tak decydujące (naelektryzowanie atmosfery); pod tym względem muszę wypróbować poszczególne miejsca. Bazylea, Naumburg, Genewa, Baden-Baden, prawie wszystkie znane mi miejsca w górach, Mariańskie Łaźnie, włoskie jeziora itd. to miejsca fatalne. Zima nad morzem jest znośna, wiosna (Sorrento i Genua) to ciągle cierpienie (z powodu zmiennego zachmurzenia)* (L 226)¹. Status bezpieczeństwa, jaki Nietzsche posiada od dziesięciu lat, jest dobrą metaforyczną ilustracją tych nerwowych poszukiwań odpowiedniego miejsca na ziemi. Nigdzie nie zadowolony, nigdzie na stałe. Kilka walizek, rozproszona po różnych mieszkaniach biblioteka, dosyłane od czasu do czasu przez matkę fragmenty garderoby – to właściwie cały dobytek. Wynajmowane pokoje, prywatne bądź hotelowe, wyposażone zwykle jedynie w najpotrzebniejsze sprzęty, dalekie są od profesorskiego czy bodaj tylko mieszczańskiego standardu. Jedyna próba urzędzenia się na stałe w Bazylei, dokąd Nietzsche sprowadził solidne meble z Naumburga i pozwo-

¹ Cytaty z listów oznaczam następująco: L = Friedrich Nietzsche, *Listy*, wybrał, przełożył i przedmową opatrzył Bogdan Baran. Inter Esse, Kraków 1994; liczba oznacza stronę. B = Friedrich Nietzsche, *Sämtliche Briefe. Kritische Studienausgabe in 8 Bänden*, hrsg. von Giorgio Colli undazzino Montinari, dtv, München 1986. Przekład własny. Liczba rzymska odsyła do odpowiedniego tomu, arabska – do strony.

lił sobie nawet na wynajęcie fortepianu, skończyła się wraz z opuszczeniem tamtejszego uniwersytetu. Kolejne zmiany miejsca, podobnie jak ciągle, coraz bardziej osobliwe eksperymenty dietetyczne miały pomóc w przezwycięzeniu choroby. Dokuczliwej nie tylko przez sprawiany ból i nieumżliwianie normalnego życia, ale także przez swoją tajemniczość. Trudno było bowiem dociec jej przyczyn. Sam chory doszukiwał się obciążeń genetycznych, bo i jego zmarły przedwcześnie w wieku 36 lat, na tak zwane rozmiękczenie mózgu, ojciec miewał podobne objawy.

Jeszcze w maju 1879 Nietzsche opuszcza więc Bazyleę (gospodarstwo zlikwiduje później siostra razem z najwierniejszym przyjacielem filozofa, Franzem Overbeckiem) i zaszywa się w nieznannej wiosce Wiesen, niedaleko Davos. Cierpi. Także z powodu złej pogody i wyjątkowo niskiego ciśnienia. Próbuje spacerów, ale najczęściej musi zostawać w łóżku. Nie wytrzymuje w Wiesen dłużej niż trzy tygodnie. Nie przyjmuje zaproszenia swego niedawnego ucznia, Heinricha Köselitza (Petera Gasta) do Wenecji – za gorąco tam o tej porze roku – i decyduje się szukać spokoju w innym miejscu.

2.

To, co gdzie indziej jest już bardzo wysoko, tu dopiero zaczyna się wznosić. Engadyna, dzieląca się na Górną i Dolną, to najwyżej zamieszкана i jednocześnie najtrudniej dostępna dolina Szwajcarii. Dolina, długa na 90 kilometrów, biegnąca z południowego zachodu na północny wschód, o której należałoby właściwie mówić „wyżyna” – cóż to bowiem za dolina położona na wysokości 1800 m n.p.m. Ale góry wyrastają stąd na jeszcze raz tyle, a nawet więcej: najwyższy szczyt w okolicy, Bernina, ma 4049 m. Więc jednak dolina. Tyle że szwajcarska. Szwajcarzy mają zaś, jak wiadomo, in-

ne poczucie wysokości. Otoczona ze wszystkich stron wysokimi górami Engadyna, lekko tylko obniżająca się w stronę Austrii, szeroka i o zadziwiająco płaskim dnie, przecięta jest wypływającą nieopodal przełęczy Maloja rzeką Inn. W okolicach źródła biegnie rzadka granica, potrójny dział wodny: stykają się tu zlewiska Morza Północnego, Adriatyku i Morza Czarnego. Przez Maloję (1815 m n.p.m.), od strony Włoch, najłatwiej też do Engadyny dojechać. Przełęcz odgradzające dolinę od zachodu, od pozostałej części największego, ale najmniej zaludnionego szwajcarskiego kantonu Graubünden², leżą wyżej: Julier – 2284 m, Albula – 2312 m, Flüela – 2383 m. Najwygodniejsza dziś droga, o ile nie korzysta się z prywatnego samolotu, który może wylądować nieopodal St. Moritz, prowadzi przez Julier-Pass. Już Rzymianie korzystali intensywnie z tego właśnie przejścia. Jest czynne prawie cały rok, poza jakimiś ekstremalnymi sytuacjami, kiedy śnieg je zasypie na amen. Wtedy można próbować pociągiem przez Albulę, docierającym na tę wysokość dość karkołomną, ale jakże malowniczą trasą. Nie zawsze tak było. Jeśli by kto szukał gdzieś przykładu miejsca odciętego od świata, to przez setki długich zim w przeszłości znajdowałby go właśnie tutaj. Trudne warunki życia od najdawniejszych czasów nie zrażały jednak ludzi przed osiedlaniem się na tym skrawku ziemi, gdzie udawało się uprawiać najwyżej trochę jęczmienia. Wykopaliska dowodzą, że Engadyna była zamieszкана już w drugim albo nawet w trzecim tysiącleciu przed Chrystusem. W bliższych nam wiekach przywędrowali tu Retowie, podbici następnie, w 15 roku p.n.e. przez Rzymian, wraz z ogromnym obszarem sięgającym na północ po Jezioro Bodeńskie i jeszcze dalej Augsburg. Administracja nowej prowincji Raetia prima, obejmu-

² Nie używam tu występującej czasami w polskim piśmiennictwie nazwy Gryzonia, bo jest ona utworzona zupełnie bez sensu z francuskiego Grisons, a więc akurat z tego języka, spośród czterech oficjalnych w Szwajcarii, który nie występuje w Graubünden.

jącej cały dzisiejszy kanton Graubünden, Vorarlberg i część Tyrolu, znalazła swą siedzibę w Chur – najstarszym mieście obecnej Szwajcarii. Nie wchodząc w dalsze szczegóły historyczne, przemiany w czasach frankońskich i karolińskich, ataki szwabsko-alemańskie i imigrację z Wallis, warto wspomnieć tylko o jednym trwałym połączeniu wpływów retyckich i rzymskich na części tych ziem: o języku retoromańskim. W Engadynie mówi dzisiaj jego dwoma odmianami ladynskimi, puter i vallader, około 25 tysięcy ludzi.

Zapewne jednak to nie zainteresowania filologiczne ściągnęły do Engadyny w XIX wieku turystów, którzy, podobnie jak dawni osiedleńcy, nie bali się trudnych warunków bytowania i – przede wszystkim – podróży. Do Engadyny przyciągała wysokość, niezwykła uroda krajobrazu oraz klimat. Wprawdzie śnieg mógł i może spaść tu w każdym miesiącu, także latem, ale pogodę stymulują w przeważającej części wpływy z południa; jest sucho, słonecznie, bez mgieł i bez silnych wiatrów. Tylko od strony przełęczy Maloja wieje prawie zawsze łagodny wietrzyk, który sprawia, że położone kilka kilometrów od niej jezioro Silvaplana stało się dzisiaj centrum wysokogórskiego surfingu. Silvaplana – jezioro i wieś o tej samej nazwie – leży dokładnie przy wjeździe w dolinę z przełęczy Julier. Stąd na lewo biegnie droga do najbardziej znanej tamtejszej miejscowości, do St. Moritz, a na prawo do Sils. To alpejskie przejście rozbudowywano i umacniano sukcesywnie od lat dwudziestych po sześćdziesiąte ubiegłego wieku, tak że w połowie stulecia mogły wyruszyć tą trasą pierwsze regularne wozy pocztowe z Chur. A wozami pierwsi, jak byśmy dziś powiedzieli, turyści i wczasowicze. Od 1859 roku, kiedy Chur zyskało połączenie kolejowe z Rorschach, a tym samym z resztą kraju oraz – via Jezioro Bodeńskie – z Niemcami, również i Engadyna przybliżyła się do świata. Na przebycie sześćdziesięciu pięciu górskich kilometrów z Chur do Silvaplana potrzeba było wtedy jednak ciągle jedenastu godzin. Oprócz regularnych pocztowych dyliżansów przemie-

rzały ten szlak, oczywiście, także prywatne wozy. *Żeby dać wyobrażenie o frekwencji: 9 sierpnia [1887] przejechało przez Maloja, koło hotelu, jakieś 900 powozów, z tego 500 dorożek i ekwipaży* (B VIII, 134). Jednego dnia! Kilka lat wcześniej, w 1879, w całej Engadynie zarejestrowano w sezonie letnim, trwającym tam zresztą krótko, niecałe trzy miesiące, cztery tysiące gości. Prócz eleganckich dam i dżentelmenów spacerujących po okolicy i głęboko wdychających nadzwyczajnie rześkie powietrze, przybywało w te strony coraz więcej przecierających nowe szlaki alpinistów, głównie angielskich. Pokryta wiecznym śniegiem Bernina została zdobyta już w 1850 roku.

Jednym z pierwszych gości w St. Moritz był w lipcu 1853 Richard Wagner. Należy jednak wątpić, by to on zwrócił potem uwagę Nietzschego na to miejsce, bo w dzisiejszym sławnym kurorcie mu się nie podobało. Narzekał na słaby hotel, na złe jedzenie i na brzydką pogodę. Tylko piesza wycieczka do lodowca Roseggletscher wywarła na nim niezapomniane wrażenie: *So etwas Grossartiges habe ich noch nicht erlebt...*³

3.

Z Wiesen miał Nietzsche do St. Moritz niedaleko. Nie musiał wracać do Chur. Wystarczyło zjechać kawałek do Tiefencastel, leżącego w połowie drogi między stolicą kantonu Graubünden a przełęczą Julier, i tam wsiąść do pocztowego dylizansu, żeby po paru godzinach znaleźć się na miejscu. To właśnie Górna Engadyna miała okazać się – na długie lata – tym innym miejscem na ziemi, miejscem spo-

³ Cyt. wg: Peter Metz, *Geschichte des Kantons Graubünden*, Bd. II: 1848–1914, Calven Verlag, Chur 1991, s. 366. (W polskim tłumaczeniu: „Czego tak wspaniałego jeszcze nigdy nie przeżyłem...”).

koju i samotności, 6000 stóp nad poziomem morza i o wiele wyżej od wszystkich ludzkich spraw (B VI, 444). Ale pierwsza stacja w Engadynie, Sankt Moritz, do którego Nietzsche przybył 21 czerwca 1879, była jeszcze przypadkowa i, jak się okaże, jednorazowa. Pewnie też już wtedy trochę zbyt ruchliwa, bo kurort rozwijał się burzliwie. Filozof nie zatrzymał się w hotelu, ale w prywatnym pokoju, gdzie przyrządzał sobie również skromne posiłki z wiktuałów przysyłanych przez matkę z Naumburga. Okolica od razu przypadła mu do gustu: *Lasy, jeziora, najlepsze szlaki spacerowe, jakie dla mnie, pół-słpego, można by urządzić, i pocrzepiające powietrze – najlepsze w Europie – sprawiają, że jest mi tu dobrze* (B V, 424). *Jakbym był w ziemi obiecanej... Pierwszy raz czuję ulgę... Chcę tu zostać długo* (B V, 429).

I to, co najważniejsze: bóle głowy trochę złagodniały.

Nietzsche opuścił Sankt Moritz po trzech miesiącach, kiedy zaczęło się już robić zimno, z postanowieniem powrotu do Engadyny. Zrobi to dopiero za dwa lata, ale potem już każde wakacje, aż do umysłowego krachu w 1889 roku, będzie spędzał w dolinie Innu. Swoje stałe letnie rezydium znajdzie w niedalekiej wsi Sils-Maria.

Do Sils, po romańsku Segl, dociera się, jak już wspominałem, zjeżdżając z przełęczy Julier przez Silvaplana na prawo. Droga prowadzi wzdłuż jeziora, skrajem doliny. Po kilku kilometrach, po lewej stronie, widać już domy Sils. To pierwsza część wsi, Sils-Baselgia, która swą nazwę zawdzięcza najstarszemu w okolicy kościółkowi (*basilica*) pod wezwaniem świętego Lorenca. Część druga, odkryta przez Nietzschego w 1881 roku, *notabene* dość przypadkowo, dzięki napotkanemu w podróży Szwajcarowi, położona w głębi doliny, daleko od głównej drogi, nazywa się Sils-Maria. Nie pochodzi to od Matki Boskiej, jak mogłoby się wydawać, ale od *maioria*, niemieckiego *Meierhof*, czyli dawnego biskupiego folwarku, na którym zamieszkiwał także we wczesnym średniowieczu kościelny egzekutor podatków. Dzisiejsza Sils-Maria liczy niespełna pięciuset mieszkańców, sto lat te-

mu było ich jeszcze mniej, raptem kilkadziesiąt domów i dwa hotele: Alpenrose i Edelweiss. Nietzsche nie zatrzymał się w żadnym z nich, ale wynajął pokój prywatnie w domu położonym tuż koło Hotelu Edelweiss. Gospodarzem skromnego, białego, jednopiętrowego budynku, pokrytego typową dla tej okolicy kamienną dachówką, był Gian Rudolf Durisch, sołtys Sils, który jednocześnie prowadził na parterze niewielki sklepik. Nietzsche wybrał sobie mały, ciemny pokoik na piętrze, z oknem wychodzącym na las. Pannujący tu stale lekki półmrok dobrze robił chorym oczom filozofa. Nawet białe ściany kazał Nietzsche za któregoś z następnych pobytów wytapetować na zielono-brązowo, żeby było jeszcze ciemniej. Na wyposażenie składało się zwykłe łóżko, szafa, stół, krzesło, sofa, półka na książki, stolik na przybory toaletowe, lampa naftowa, lustro, mały dywanik na podłodze z surowych desek. We właściwej relacji do tych spartańskich warunków pozostawała cena: jeden frank dziennie. Oczywiście bez wyżywienia.

Już w kilka dni po pierwszym przyjeździe Nietzsche wiedział, że jest we właściwym miejscu: *Tu w Engadynie czuję się o wiele lepiej niż gdziekolwiek indziej na Ziemi: wprawdzie nawroty [choroby] występują jak wszędzie, ale o wiele łagodniejsze i bardziej ludzkie. Doznaję tu ciągłego ukojenia, nie ma presji jak wszędzie indziej; nic mnie tu nie denerwuje. Chciałbym prosić wszystkich: «zostawcie mi te 3, 4 miesiące engadyńskiego lata, bo inaczej naprawdę nie zniosę już dłużej życia»* (L 226).

Sils-Maria leży między dwoma jeziorami, przez które przepływa Inn (po ladyńsku En, stąd nazwa doliny) – od północnego wschodu jest to wspomniane już jezioro Silvaplana, od południowego zachodu Silser See (po ladyńsku Lej da Segl), największe nie tylko w Engadynie, ale w całym kantonie Graubünden: ma ponad czterysta hektarów powierzchni, niespełna pięć kilometrów długości (drugim końcem dochodzi prawie do wsi Maloja) i półtora kilome-



Dom Nietzschego w Sils-Maria.

tra szerokości. Jeśli Nietzsche chciałby je całe obejść, miałby do pokonania ponad trzynaście kilometrów, bo tyle wynosi długość linii brzegowej. Nie robił tego jednak, zadowalał się krótszymi, chociaż całkiem intensywnymi spacerami. Jeśli wybierał się w stronę jeziora, przechodził najpierw przez główny placyk wsi, skąd odchodzi droga do chętnie odwiedzanej przez filozofa doliny Fex, dalej koło Hotelu Alpenrose, a następnie na ukos przez wielką, zupełnie płaską łąkę oddzielającą jezioro od wsi. Na wysokości pierwszych domów Sils-Baselgia osiągał swoje ulubione miejsce spacerów i rozmyślań, zalesiony półwysp Chastè. Kiedyś była tam niewielka warownia (stąd nazwa, od łac. *castellum*), po której jeszcze do dzisiaj pozostały pokryte mchem kamienne resztki. Półwysp wcina się jakieś pół kilometra w jezioro, porośnięty jest limbami i modrzewiami; cypel staje się skalisty i wznosi kilkanaście metrów powyżej wodnej tafli. Tu, na końcu półwyspu, najlepiej byłoby przysiąść na jakimś kamieniu i kontemplować przepiękny widok roztaczający się dookoła. Oddzielający wodę od nieba łańcuch gór, pokrytych połaciami śniegu, zniża się lekko z obu stron ku przeciwnemu brzegowi jeziora, w stronę przełęczy Maloja. Chastè było najbliższym wsi i ulubionym zarazem celem spacerów Nietzschego. *Chciałbym mieć dosyć pieniędzy* – pisał w 1883 roku do przyjaciela ze szkolnych lat, Carla von Gersdorffa – *żeby zbudować tu sobie coś w rodzaju idealnej psiej budy; mam na myśli drewniany domek z dwoma izbami na półwyspie, który wchodzi w jezioro Sils i na którym stała kiedyś rzymska warownia* (B VI, 386). O jego stosunku do tego miejsca świadczy też wyrażone kiedyś życzenie, by zostać tam pochowanym⁴. Jak wiadomo, życzeniu temu nie stało się zadość, ale ma jednak Nie-

⁴ Por. wspomnienie towarzyski jednego ze spacerów Nietzschego na Chastè, Mety von Salis-Marschlins *Philosoph und Edelmensch: Ein Beitrag zur Charakteristik Friedrich Nietzsches*. Leipzig 1897. Przedruk w: *Begegnungen mit Nietzsche*, hrsg. von Sander L. Gilman, 2. verbesserte Auflage. Bouvier, Bonn 1985, s. 555.

tzsche na Chasté coś w rodzaju tablicy nagrobnej, ma swój kamień. Wrócimy tu jeszcze.

Drugim celem engadyńskich wędrówek filozofa była wspomniana już dolina Fex, odchodząca od Sils-Maria w kierunku południowo-wschodnim. Droga prowadzi ze wsi najpierw przez wąwóz Drög, potem dość stromo pod górę do osady Crasta, składającej się z kilku domów, zajazdu i malowniczego, maleńkiego, romańskiego kościółka, w którego apsydzie można dzisiaj oglądać zaskakująco ciekawe freski z początku XVI wieku (Nietzsche ich nie znał, zostały odkryte i odsłonięte dopiero trzydzieści lat temu). Stąd dolina wznosi się już łagodnie ku źródłom potoku Fex i ku zamykającym horyzont lodowcom Chapütschin, Tremoggia i Fora. Jeśli są w Engadynie piękniejsze widoki, to chyba tylko ze szczytów. Ale na nie Nietzsche się nie wspinał.

Pozostała jeszcze trzecia stała trasa jego wycieczek, na ogół porannych, może trochę mniej malownicza, ale kto wie, czy nie najważniejsza, przynajmniej z punktu widzenia historii filozofii.

4.

Gdy Zaratustra trzydziestu lat dożył, opuścił kraj swój i jezioro ojczyste i poszedł w góry. Tu radował się duchowi swemu i samotności swej, a dziesięć lat tak żyjąc, nie umęczył się niemi. Wreszcie przemieniło się serce jego, – i pewnego zaranku, wstawszy wraz z jutrznią, wystąpił przed słońce i tak rzekł do niego:

– Światłości ty olbrzymia! czemuż by było twe szczęście, gdybyś nie miała tych, komu jaśniejesz?(...) Tak się poczęło zniżyć Zaratustry⁵.

⁵ Fryderyk Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra. Książka dla wszystkich i dla nikogo*, przeł. Wacław Berent, nakład Jakóba Mortkowicza, b.d., s. 3.

Tak się poczęło zniście Zaratustry. W sierpniu 1881 roku, nad jeziorem Silvaplana.

Na moim horyzoncie pojawiły się myśli, jakich nigdy jeszcze nie widziałem – nic o tym nie chcę mówić, by samemu zachować niewzruszony spokój. Muszę wszak jeszcze kilka lat pożyć! Ach, przyjacielu, niekiedy powstaje mi w głowie przecucie, że prowadzę właściwie bardzo niebezpieczne życie, należę bowiem do maszyn, które mogą się rozsypać! Intensywność moich uczuć napawa mnie trwogą i śmiechem – już kilka razy nie byłem w stanie opuścić pokoju z tego śmiesznego powodu, że miałem zapalenie oczu – w wyniku czego? Za każdym razem zbyt płakałem podczas mych wędrówek poprzedniego dnia, i to nie łzami sentymentalnymi, lecz łzami radości; przy czym śpiewałem i wygadywałem brednie, pełen nowego spojrzenia, jakiego jeszcze żaden człowiek przede mną nie miał (B VI, 112)⁶.

W pisanym 14 sierpnia 1881 do Heinricha Köselitza liście Nietzsche nie ujawnił jeszcze treści swych myśli i swych wizji. Konkrety pojawią się dopiero w późniejszej korespondencji, w okrucinach poetyckich i w *Ecce homo*, a także we wspomnieniach jego współczesnych, którzy bądź spotykali Nietzschego nad jeziorem Silvaplana, bądź byli przez niego zapraszani na spacer w tamtą stronę, w stronę nadbrzeżnego kamienia.

Z Sils-Maria idzie się najpierw wzdłuż ostatnich domów wsi, za Hotelem Edelweiss, wzdłuż potoku, by po chwili wyjść na równinę łączącą dwa jeziora. Strumień odchodzi potem w lewo, zbliżając się do Innu, ale obie rzeki wpadają do jeziora Silvaplana oddzielnie. Droga wschod-

⁶ Ten fragment w skorygowanym tu nieco przekładzie Wojciecha Kunickiego. Por. Joachim Köhler, *Tajemnica Zaratustry. Fryderyk Nietzsche i jego zaszyfrowane przesłanie. Biografia*, przeł. Wojciech Kunicki, Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1996, s. 336.

nim brzegiem jeziora prowadzi dalej cały czas pod lasem, miejscami drzewa dochodzą do samej wody. Na tej właśnie drodze widywano często Nietzschego. Przy końcu jeziora, które po ladyńsku nazywa się Lej da Silvaplauna, w pobliżu wioski Surlej, z której dzisiaj wyjeżdża kolejka linowa na Piz Corvatsch (czyli Kruczy Wierch), wyrasta z wody piramidokształtny blok skalny kilkumetrowej wysokości. To „kamień Zaratustry” – tutaj, odpoczywając w trakcie spaceru, filozof doznał olśnienia, opisanego po raz pierwszy w cytowanym wyżej liście. Nietzscheaniści spierają się co prawda, czy w tym miejscu narodziła się w myślach faktycznie postać Zaratustry, czy tylko zasadnicza idea, idea wiecznego powrotu, ale sam Nietzsche nie czynił takiego rozróżnienia: – *I Zaratustra przeszedł mimo obok mnie...* (Sils-Maria). *Ta Engadyna to miejsce narodzin mojego Zaratustry* (B VI, 444). Pierwsza część Zaratustry nie powstała *notabene* w Sils-Maria, ale w Rapallo, zimą następnego roku. W Engadynie pisał Nietzsche drugą część, a potem kolejne swe dzieła: *Poza dobrem i złem, Wolę mocy, Genealogię moralności, Zmierzch bożyszcz...*

Spśród relacji współtowarzyszy engadyńskich wędrówek filozofa reprezentatywne jest wspomnienie jednej z krążących wówczas w jego orbicie dam, Resy von Schirnhofer, spisane w sierpniu 1884: *I mnie, jak wcześniej lub później innych swoich gości, poprowadził [Nietzsche] do obmywanej wodą skały na brzegu jeziora Silvaplana, do kamienia Zaratustry, w to cudowne miejsce surowej piękności, gdzie ciemnozielone jezioro, pobliski las, wysokie góry i jakaś uroczysta cisza roztaczały wspólnie swój powab. Gdy, na jego prośbę, usadowiłam się na «świętym kamieniu», ze świata jego [Nietzschego] wewnętrznych, duchowych i emocjonalnych napięć wyłonił się Zaratustra i zasypał mnie ogromem myśli i obrazów obleczonych w dytyrambiczne słowa. Potem opowiadał mi o zadziwiającej szybkości, z jaką powstawały poszczególne części dzieła, o fenomenie tego olśnienia, za którym nie mogło nadążyć pióro (...). Kiedy następnie poszliśmy dalej brzegiem jeziora, po-*



Kamień Zaratustry nad jeziorem Silvaplana.

zostawiając za sobą strefę działania czaru Zaratustry, w zachowaniu Nietzschego przestały być zauważalne te tajemnicze vibracje, nadeszło naturalne odprężenie, wspomagane przez cudowną rzeźkość i czystość tego jasnego letniego dnia, któremu na horyzoncie nie zagrażały żadne «elektryczne chmury», czego tak obawiał się Nietzsche⁷.

Czy rzeczywiście było coś tak absolutnie niezwykłego w tym – i tylko w tym – miejscu, że wywołało to niezwykłą wizję? Czy wizja narodziła się, bo po prostu przyszedł jej czas i ujawniłaby się gdziekolwiek, niezależnie od pejzażu? Czy była następstwem opiumowej halucynacji? Nie da się tego rozstrzygnąć. Czy zadziałał osobliwy kształt kamienia? Cienie rzucane wokół przez wysokie jodły w połączeniu z grą słonecznego światła na zielonkawej powierzchni jeziora? Dzień musiał być wtedy słoneczny, bo obecność chmur Nietzsche odczuwał, jak wiadomo, zbyt dotkliwie, by móc przy przesłoniętym choćby tylko trochę niebie koncentrować się na swoich myślach. Jeśli pamiętamy z kolei o silnej krótkowzroczności filozofa, to problematyczne staje się wszystko to, co mógł dojrzeć wokół siebie? A może właśnie tu leży odpowiedź? On widział inaczej i na nic nasze oglądanie okolicy zwykłym, zdrowym okiem?

Kamień narodzin Zaratustry do dzisiaj stoi na swoim miejscu, nad jeziorem Silvaplana. Kamienia Nietzschego należy szukać gdzie indziej.

5.

Nigdy (...) nie był on namiętym listopisem – pisze polski wydawca i tłumacz niewielkiego wyboru listów Nietzschego⁸.

⁷ Por. *Begegnungen mit Nietzsche*, op. cit., s. 489–490.

⁸ Bogdan Baran, *Nietzsche prywatny* (w:) Friedrich Nietzsche, *Listy*, op. cit., s. 7.

Czy osiem tomów zachowanych listów to za mało, by zasłużyć na miano pilnego epistologa? W tych ośmiu tomach jest prawie trzysta datowanych w Sils-Maria. Trzydzieści osiem wysłanych latem 1883, dwadzieścia trzy – dwa lata później, pięćdziesiąt sześć – latem 1887, aż siedemdziesiąt osiem – od czerwca do września 1888. Tyle się zachowało. Ile musiałoby pozostać po „namiętym listopisie”?

Głównymi adresatkami tych prawie trzech setek listów engadyńskich były matka i siostra, powierniczki stanów może nie ducha, ale ciała autora. Jakże inna filozofia, filozofia(?) życia codziennego, wyłania się bowiem z przeznaczonych dla tych kobiet stronic... *Ze swego pożywienia jestem rad: na obiad (11.30) z a w s z e mięso, z macaroni, rano (6.30) surowe żółtko, herbata i sucharek anyżowy (wiejsko-posilny), wieczorem (6.30) 2 surowe żółtka, nieco polenty (jedzą ją tu wszyscy pasterze i chłopci), herbata (drugie parzenie) i sucharek anyżowy. (...) Co rano o piątej mycie ciała w zimnej wodzie, 5–7 godzin ruchu dziennie. Między 7 a 9 wieczorem siedzenie w mroku... (L 228). Jadam więc sam, o pół godziny wcześniej: dzień w dzień piękny czerwony befszyk ze szpinakiem i wielki omlet (z marmoladą jabłkową). Płacę za to tyle samo, co za table d'hôte. Wieczorem tylko parę plasterków szynki, dwa żółtka i dwie buleczki. Najistotniejsza jednak jest nowość poranna. Właściwie od wielu miesięcy nie mogłem, wstawszy rano, pić herbaty, byłem po niej zmęczony i nerwowy, z wyraźnymi oznakami niestrawności. Najwyżej co dwa tygodnie zdarzał się dobry poranek, kiedy mogłem pracować. Teraz wynalazłem sobie coś nowego, co sprawdza się już od pięciu tygodni: o 5 rano wypijam filiżankę gorzkiego kakao (van Houtena), które sam sporządzam, potem kładę się znowu, zasypiam, ale wstaję punkt szósta i ubrawszy się wypijam jeszcze dużą filiżankę herbaty. A potem do pracy – i i d z i e (L 313–314). Nie przysyłaj mi więcej kielbasy. Jem mięso w południe i więcej nie chcę. Proszę za to o knot do lampy spirytusowej,*

grzebyk (ze szczotką), taki do kieszeni, trochę starego płótna do opatrunków, potem nici i igły. Tu, na górze, cenię też wszystkie słodczyce, np. dobre pierniczki... (B VI, 114). W tym miejscu należy przerwać tę ludzką, arcyłudzką wyliczankę, by wyrazić zdziwienie: pierniczki z Naumburga sprowadzać do ojczyzny cukierników? Wszak to Engadyńcy już w siedemnastym wieku znani byli w Europie ze swoich wyrobów, to oni prowadzili kawiarnie i cukiernie we Włoszech, Francji, Niemczech, Polsce. Suchymi pierniczkami zastępować słynny i smakowity torcik orzechowy wypiekany na miejscu? Przy tak wielkiej dbałości o pożywienie, jest to zaiste dziwne. Bo nawet jeśli nie było wtedy jeszcze w Sils-Maria cukierni Schulze'a, niedaleko dawnego Hotelu Alpenrose, w którego kilka zachowanych ścian wbudowuje się obecnie nowoczesne apartamenty, jeśli więc nie było jeszcze tam cukierni, to engadyńskie torciki, zachowujące *notabene* trwałość przez kilka tygodni, musiano gdzieś w okolicy wypiekać. W ani jednym z prawie trzystu listów pisanych „6000 stóp nad poziomem morza” nie ma o tym najmniejszej wzmianki, chociaż zdarzają się na przykład o sucharkach kupowanych w Silvaplana. Zadziwiająca...

Swe listy z Górnej Engadyny adresował też Nietzsche do najwierniejszych przyjaciół, Heinricha Köselitza i Franza Overbecka. Niewiele już w nich o jedzeniu, więcej o powszednich zajęciach, o własnej twórczości, o dolegliwościach zdrowotnych, o towarzyskich, wcale bogatych kontaktach, o górskich pejzażach. Biograf filozofa, Curt Paul Janz, skrzętnie wykorzystał te wszystkie informacje w swoim trzypiętomowym dziele⁹. Porzućmy więc pokusę, by za pomocą co smakowitszych listowych cytatów sprowadzać filozofa do codziennych wymiarów. Pójdźmy wreszcie do kamienia Nietzschego.

⁹ Por. Curt Paul Janz, *Friedrich Nietzsche. Biographie in drei Bänden*. Hauser Verlag, München-Wien 1978.

Cytowana powyżej Austriaczka Resa von Schirnhofer, jedna z towarzyszek spacerów Nietzschego po okolicach Sils-Maria i partnerka dysput – po czemu miała *notabene* dobre kwalifikacje, w engadyńskim okresie studiowała bowiem filozofię w Zurychu – pozostawiła świadectwo dotyczące nie tylko kamienia Zaratustry, ale i miejsca, w którym znajduje się kamień Nietzschego. *Przypominam sobie jeszcze jeden poranny spacer brzegiem jeziora Sils aż do miejsca, z którego można było dojrzeć w dali malowniczo położony, duży, nowo zbudowany Hotel Maloja, przeznaczony «dla katolickiej arystokracji», jak powiedział Nietzsche. Poszliśmy potem z powrotem, wspiąwszy się na małe promontorium, gdzie na kawałku bujnej, zielonej trawy, otoczonym krzakami i omszałymi blokami skalnymi Nietzsche miał swoją kryjówkę, gdzie ten poeta i myśliciel odpoczywał i – niekępowany przez nikogo – prowadził dialogi z samym sobą. Tutaj znowu zaczął drążyć swoje ulubione tematy, tym razem głęboko zasmucony, ze łzami w oczach, ubolewał nad niepowetowaną stratą dawnej przyjaźni Wagnera¹⁰. Relacja pochodzi z sierpnia 1884. Chociaż Richard Wagner wtedy już nie żył, a od wzajemnego zerwania stosunków minęło sześć lat, zadra tkwiła ciągle – jak widać – głęboko. Ale stosunki Nietzsche–Wagner to temat na oddzielne opowiadanie, którego, nawet z niejakim żalem, nie mogę tu podjąć.*

Wspomniane przez Resę von Schirnhofer omszałe bloki skalne znajdują się na Chastè. Półwysep zwęża się tu, u swego końca, i wznosi trochę w górę, roślinność staje się gęstsza. Trochę w głębi, nie na samym brzegu, w zacienionym mocno miejscu, między modrzewiami, stoi kamień Nietzschego. Dziś można przysiąc nieopodal na ławeczce, postawionej zapewne specjalnie dla amatorów filozoficznych medytacji i dla nietzscheańskich pielgrzymów. Autor *Zaratu-*

¹⁰ *Begegnungen mit Nietzsche*, op. cit., s. 490.

stry polegiwał po prostu w trawie. Głęboki cień dobrze robił jego oczom. Zapewne nie zawsze wracał wtedy myślami do Wagnera, ale obmyślał też swoje dzieła, błędząc wzrokiem a to po zielonkawej tafli jeziora, a to po otaczających je szczytach. Miesiące spędzone w Sils-Maria to wszak najbardziej płodny okres w twórczości pisarskiej Nietzschego.

Resa von Schirnhofner wspomina, że kiedyś, podczas spotkania, filozof poprosił ją o przeczytanie *Drugiej pieśni tanecznej z Zaratustry*. Niezadowolony z lektury, sam zaczął recytować uroczyście odmienionym głosem:

*Człowiecze, śpisz?
Coś brzmi z północnej głuszy wzwyż!
„Jam spał, jam spał –
„Z głębokich snu się budzę cisz: –
„Świat – głębin zwał,
„Głębszych niż, jawo, myślisz, śniesz.
„Ból – głębi król.
„Lecz nad ból – rozkosz głębiej drga:
„Zgiń! – mówi ból.
„Rozkosz za wiecznym życiem lka –
„– wieczności chce bez dna, bez dna!”*

Tablicę z tym nieprzypadkowo, jak widać, wybranym cytatem umieszczono na omszałym kamieniu na krańcu półwyspu Chastè w roku śmierci Nietzschego (stąd data pod tekstem: MDCCCC), w dwanaście lat po jego ostatnim pobycie w Sils-Maria. W ten sposób Nietzsche ma dwie tablice nagrobne: na cmentarzu w Röcken i nad Silser See. Przy której zatrzymuje się więcej wędrowców?

7.

W 1881 ukazuje się *Jutrzenka*, w 1882 – *Wiedza radosna*, w 1883 – *Tako rzecze Zaratustra*, potem kolejne prace. Nie-

tzsche budzi coraz większe zainteresowanie, chociaż jedynie w niewielkich kręgach intelektualnych. Uwagę przyciągają nie tylko dzieła, ale również sama postać „pustelnika z Sils-Maria”. Coraz większe towarzystwo przybywa latem do Sils śladami Nietzschego. *Nie brak ludzi, z którymi mogę rozmawiać, przez trzy tygodnie jadłem na przykład obiad wspólnie z Thurneysen-Merians. Jest tu pewna Angielka, która wcześniej do mnie pisała. Właśnie pożegnał mnie pruski urzędnik z Urzędu Patentowego (z otoczenia Bismarcka) – całkiem wzruszająco (powiedział, że rozmowy ze mną były najbardziej znaczącym epizodem w jego życiu duchowym). Ma przyjechać jeszcze Resa von Schirnhofen (...). Widzisz, że «pustelnik z Sils-Maria» lepiej ma się tego lata niż poprzedniego* (B VI, 519). W 1886 roku Nietzsche z autoironią konstatawał, że trudno mu się uważać dalej za „pustelnika z Sils-Maria” od czasu *kiedy ta miejscowość zaczęła zmieniać się w profesorskie rendez-vous* (B VII, 245). Rok później oba hotele były pełne gości, dodatkowo w prawie każdym domu wynajmowano pokoje. Górna Engadyna stawała się modna. Następował przy tym coraz wyraźniejszy podział przyjezdnych: ci z portfelami pełnymi pieniędzy kierowali się do St. Moritz, ci z głowami pełnymi niepopolitych myśli do Sils. Zaczęli pojawiać się także pierwsi ciekawscy, którzy znajdowali upodobanie w „przypadkowych” spotkaniach z filozofem na engadyńskich ścieżkach, a nawet próbowali zaglądać do wynajmowanego przez niego pokoju. Gospodarz Nietzschego, Durisch, niechętnie jednak wpuszczał ciekawskich do domu, nawet później, już po śmierci autora *Zaratustry*, aczkolwiek o obyczajach swojego lokatora informował bardziej skwapliwie. *Kiedy nagabywało się pana Durischa, by pokazał pokój Nietzschego – relacjonowała w „Berliner Tageblatt” w 1904 roku niejaka Eugenie Galli – potrząsał siwą głową: «Nie, nie można. Pan profesor mieszkał zbyt skromnie; poza tym wszystko jest tam zmienione. Przykro mi, ale nic nie pokazę». (...) Tylko z nielicznymi dzielił się wspomnieniami*



Sils-Baselgia, półwysep Chastè nad jeziorem Sils i Piz da la Margna.

o swoim świętym. (...) «Wstawał rano, Bóg raczy wiedzieć jak wcześnie. Od świtu pisał za zamkniętymi drzwiami, żeby nikt mu nie przeszkadzał. Pojawiał się w progu o jedenastej i szedł na spacer, jadał – o ile nie żywił się wyłącznie owocami – w Hotelu Alpenrose, potem znów szedł gdzieś, do doliny Fex albo na półwysep Chastè (...). O czwartej albo piątej wracał do pokoju i pisał do wieczora, do jedenastej; potem gotował sobie herbatę i znowu pracował, pracował!»¹¹. Im więcej czasu upływało, im bardziej sławne stawało się dzieło Nietzschego, tym więcej podobnych relacji pojawiało się w prasie i poświęconych mu wydawnictwach. Relacji pełnych sprzeczności i przeinaczeń, chociaż najczęściej nieświadomych; specjalistką od świadomych fałszerstw – z maską pośmiertną włącznie! – była, jak wiadomo, siostra filozofa, Elisabeth Förster-Nietzsche.

Indywidualne pielgrzymki do domu Durischa nie ustały aż do jego śmierci. Potem, przez całe dziesięciolecia nic się w tym miejscu nie działo. Dopiero w 1958 roku zaczęto myśleć o urządzeniu w domu Durischa „domu Nietzschego”. Tak też się stało. Międzynarodowa zbiórka pieniędzy pozwoliła na remont i przywrócenie pokoikowi na pierwszym piętrze pierwotnego charakteru. Udało się nawet ocalić kawałek wspomianej tu już ciemnej tapety, położonej na ścianach na życzenie filozofa. Z jego czasów pochodzi też niewielki dywanik na podłodze i obrus na stole. Mimo że reszta wyposażenia nie jest autentyczna, daje wyobrażenie o dawnym wyglądzie pokoju. Na parterze, gdzie Durisch miał kiedyś swój sklep, zgromadzono rozmaite pamiątki, fotografie, rękopisy, pierwsze wydania prac powstałych w Sils, a także dokumenty mniej znanych stron działalności autora *Zaratustry*, na przykład partytury jego kompozycji. W jednym z trzech pomieszczeń znalazło się też – pozyskane dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności w 1991 roku – wyposażenie ostatniego bazy-

¹¹ *Begegnungen mit Nietzsche*, op. cit., s. 597–598.



lejskiego mieszkania Nietzschego. Wszystko to nie wykracza specjalnie ponad standard typowego muzeum biograficznego. Ale na pierwszym piętrze w korytarzu jest jeszcze coś innego, jeszcze jedna niewielka wystawa: *Sils i Górna Engadyna w literaturze światowej*. Nietzsche bowiem odkrył to miejsce, ale za nim podążyli inni. Aż dziw bierze, kiedy się spojrzy na listę literackich osobistości kontemplujących engadyńskie pejzaże, szukających natchnienia w tej zagubionej w wysokich górach wiosce, spacerujących brzegiem obu jezior, spoglądających – śladem wzroku Nietzschego – ze skalistego cypla na półwyspie Chaste w stronę ośnieżonego szczytu Piz da la Margna i przełęczy Maloja. Co ich wszystkich przyciągnęło właśnie tu? Ten sam kamień?

8.

Sils-Maria w literaturze światowej... Nie ma żadnej literatury, złościł się kiedyś Gombrowicz, jest jeden, drugi pisarz wybitny... Marcel Proust, Rainer Maria Rilke, Hermann Hesse, Thomas Mann, Borys Pasternak, Pablo Neruda, Jean Cocteau, Karl Kraus, Robert Musil, Theodor Adorno, Ernst Bloch, Herbert Marcuse, Paul Celan, Max Frisch, Kurt Tucholsky, Elias Canetti, Friedrich Dürrenmatt, Eugène Ionesco. Nie wyliczam ani alfabetycznie, ani chronologicznie, ani w żadnym innym zamierzonym porządku. To zresztą jeszcze nie wszystkie literackie i artystyczne nazwiska engadyńskich gości, które można by wymienić. Kto ciekaw innych, niech zajrzy na przykład do wydanej niedawno w serii „Literarische Reisewege” antologii *Das Engadin*¹². Choć chyba nawet i w niej nie udało się zgromadzić

¹² *Das Engadin. Porträt einer Landschaft*, hrsg. von Susanne Gretter, Insel Verlag, Frankfurt am Main–Leipzig 1998.

wszystkich pisemnych świadectw zauroczenia tym zagubionym w wysokich górach zakątkiem. Brakuje na przykład wyznania Thomasa Manna, tak niezbyt przecież skłonny do uniesień: *Ta Engadyna to najpiękniejsze miejsce na świecie. Nieczęsto zdarza mi się mówić o «szczęściu», ale myślę, że tutaj jestem szczęśliwy*¹³. Ale i bez tego zestaw cytatów wystarczyłoby do obdzielenia wielu, nie tylko alpejskich i nie tylko szwajcarskich krajobrazów.

Większość z wymienionych artystów odwiedzała podczas pobytu w Sils-Maria dom Nietzschego. Od otwarcia w nim muzeum gości rejestruje księga pamiątkowa, można by więc jeszcze poszerzyć przytoczoną wyżej listę sław. Jest jasne, że nie należeli oni do grona pielgrzymów, wyznawców czy po prostu snobów podążających śladami Nietzschego. Zachodzili do ciemnego pokoiku na piętrze, spacerowali wokół kamienia na Chaste niejako przy okazji. Zaratustra i jego twórca nie byli dla nich engadyńskim magnesem. Byli już tylko nierozdzielniymi składnikami tego miejsca, tego świata i tego *esprit*. *Esprit* sprawiającego, że prawie każdy, kto okaże ku temu odrobinę gotowości, może przeżyć tu przynajmniej jeden niezwykle moment. Niekoniecznie o tak daleko sięgających skutkach, jak to się zdarzyło w sierpniu 1881 Nietzschemu. W mrokach jego umysłu pozostał zresztą być może później jeszcze inny dzień, którym zachwycał się pod koniec ostatniego pobytu w Sils-Maria w 1888 roku. *Trzeci września był dniem bardzo osobliwym. Rano pisałem przedmowę do swego „Przewartościowania wszelkich wartości”, najdumniejszą może przedmowę, jaką dotąd napisano. Potem wyszedłem – i oto był najpiękniejszy dzień, jaki widziałem w Engadynie! – blask wszystkich kolorów, błękit jeziora i nieba, powietrze czyste w sposób zupełnie niesłychany... (...) Góry głęboko po doliny w bieli – bo mieliśmy naprawdę zimowe dni – wzma-*

¹³ Cyt. wg: *Alpenpässe Manuskript zur Sendereihe des Saarländischen Rundfunks*, TR-Verlagsunion, München 1997, s. 13.

gały jeszcze intensywność światła. (...) Po południu obiegłem całe jezioro w Silvaplana: ten dzień zostanie mi zapewne w pamięci (L 373).

9.

Ostatni cytat z Górnej Engadyny. Hermann Hesse: *Czułem, że te góry i jeziora, ten świat drzew i kwiatów mają mi więcej do powiedzenia niż mogę na pierwszy rzut oka przyjąć i przyswoić, że będzie mnie to stale przyciągać, że ta tak surowa, ale pełna harmonii dolina chce mi dać coś cennego albo czegoś ode mnie żąda*¹⁴.

Grudzień 1998

¹⁴ Hermann Hesse, *Engadiner Erlebnisse* (w:) *Eigensinn. Autobiographische Schriften*, Suhrkamp Verlag, Frankfurt am Main 1972, s. 208.

Mgła nad Jeziorem Bodeńskim

Jeśli nie było akurat mgły, z dwóch małych okien pracowni położonej na pierwszym piętrze roztaczał się wspaniały widok na jezioro, rozciągający się od dosyć dalekiej Konstancji z lewej strony po położone naprzeciwko dwa miasteczka Berlingen i Steckborn, leżące już na szwajcarskim brzegu, nieodległym, bo jezioro – a właściwie tylko jego część, zwana Untersee (czyli Jezioro Dolne) – zwęża się tu coraz bardziej, by przejść w końcu po kilku kilometrach w dalszy bieg przepływającego przezeń Renu. Z wyspy Reichenau, leżącej mniej więcej w połowie tej widokowej linii, wystawały i wpadały w oko niewysokie wieże trzech najstarszych w okolicy romańskich kościołów, a za nimi, przy dobrej pogodzie, wyłaniały się łagodne wzniesienia i lasy półwyspu Bodanrück, rozdzielającego kolejne dwie części jeziora: Gnadensee i Überlinger See. Po przeciwnej stronie, w oddali, horyzont zamykał łańcuch szczytów Alpsteinu z charakterystyczną, ośnieżoną często, sylwetką Säntisa. Bliżej, przed samym domem, na wybrukowanym placu, stał mały kościółek, właściwie kaplica, a koło niej źródółko, szmerzące bez wytchnienia wodą spływającą do obmurowanego koryta. Kilka okolicznych drzew, topoli

i śliw, nie ograniczało jeszcze wtedy, na początku dwudziestego wieku, rozległego widoku. Przede wszystkim jednak nie było żadnych innych zabudowań, które potem, z biegiem lat, otoczyły biały jednopiętrowy dom z niebieskimi okiennicami i przesłoniły jezioro. Dzisiaj, by móc rozkoszować się widokiem – jeśli oczywiście nie ma akurat mgły – tak jak czynił to z tego miejsca niegdyś Hermann Hesse, trzeba odejść trochę dalej i wyżej, poza wiejskie zabudowania. Mijając po drodze drugi dom Hessego w Gaienhofen.

Wieś Gaienhofen należy nie tylko do naturalnego pejzażu Jeziora Bodeńskiego, ale też do jego krajobrazu literackiego. Jezioro zaś nie jest wyłącznie miejscem widokowym, lecz również miejscem literackim. Przyciągało od wieków pisarzy i pióra. W specjalnym przewodniku¹, opracowanym dla miłośników literatury, wymienia się aż dwadzieścia miejscowości wokół jeziora, w których pozostawili swoje ślady dawniejsi i nowsi autorzy, od średniowiecznych skrybów w klasztorze benedyktynów na Reichenau poprzez Hölderlina w Lindau i Hauptwil, otaczaną w Niemczech kultem romantyczną poetkę, Annette von Droste-Hülshoff w Meersburgu, Augusta Strindberga, który w Lindau napisał między innymi swojego *Ojca*, po urodzonego w Wasserburgu i mieszkającego w pobliżu do dziś Martina Walsera – by poprzestać na kilku przykładach. Jedni tutaj krócej lub dłużej żyli, inni tylko bywali, a potem przetwarzali na różne sposoby swoje doświadczenia oraz impresje. Ale nie tylko pisarskich, osobistych śladów można tu dużo znaleźć. Wiele miejsc nad jeziorem istnieje w samych dziełach: jako teren powieściowej akcji, temat wiersza czy wspomnienia, jako źródło inspiracji. Prawdziwy literacki krajobraz. Wydana niedawno antologia *Bo-*

¹ Doris und Dieter Schiller, *Bodensee. Literarische Erkundungen rund um das Schwäbische Meer*, Klett-Cotta, Stuttgart 1996.

*densee. Reisebuch*², gromadząca fragmenty utworów związanych w jakikolwiek sposób ze Szwabskim Morzem, jak często nazywa się w Niemczech to ogromne jezioro, zawiera osiemdziesiąt tekstów sześćdziesięciu dwóch autorów. Nie pojawia się wśród nich *notabene* nazwisko Stanisława Dygata, co nie powinno jednak dziwić, bo w jego powieści Jezioro występuje wyłącznie w tytule.

Gaienhofen leży na dużym półwyspie Höri nad zachodnim krańcem jeziora, nad Untersee. Do najbliższego kąpieliska, Radolfzell, jest stąd dwanaście kilometrów, do szwajcarskiego Steckborn dużo bliżej, wystarczy przepłynąć łódką kilkaset metrów na drugi brzeg. Niedaleko, zwłaszcza drogą wodną, jest też do Konstancji. To właśnie tamtejszych biskupów można by nazwać odkrywcami Gaienhofen. Już w XII wieku zbudowali sobie tu duży zamek myśliwski, który stał się z czasem także siedzibą administracyjną biskupstwa. Po zamku z dziewięcioma wieżami, niszczone stopniowo w kolejnych wojnach, pozostała dziś budowla, której prostokątny kształt nadany został około roku 1700. W jej murach mieści się obecnie renomowane ewangelickie gimnazjum z internatem, założone w 1904 roku, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy do Gaienhofen przybył Hermann Hesse.

Tęsknoty za wiejską idyllą nie były wśród artystów na przełomie wieków niczym niezwykłym. Ucieczki z miasta stanowiły często pierwszą reakcję na postępującą industrializację, umasowienie społeczeństwa i ogólne przyspieszenie życia. Hermann Hesse uciekł z Bazylei z tamtejszego antykwariatu Wattenwyla, w którym miał posadę od prawie dwóch lat, w 1903 roku. Najpierw do rodzinnego

² *Bodensee. Reisebuch*, hrsg. von Dominik Jost, Insel Verlag, Frankfurt am Main–Leipzig 1993.

Calw w Szwarzwaldzie, wkrótce zaś na wieś, nad Jezioro Bodeńskie. Umożliwił mu to pierwszy literacki i finansowy zarazem sukces: *Peter Camenzind*. W dwudziestym siódmym roku życia, osiem lat po poetyckim debiucie, sześć lat po wydaniu pierwszej książki, w zmienionej sytuacji życiowej i zawodowej, z pięcioletnim kontraktem wydawniczym w kieszeni, z pokaźną sumą 2500 marek na koncie (bo tyle przyniósł rozchwytywany przez czytelników *Camenzind*) – co mogło wystarczyć wówczas na jakieś dwa lata życia – w sierpniu 1904, w tydzień po ślubie, wyładował Hesse w małym, liczącym zaledwie trzystu mieszkańców, Gaienhofen. Stary chłopski dom z rozległym widokiem, nie pamiętający wprawdzie, jak chcą niektórzy, czasów wojny trzydziestoletniej, ale i tak wystarczająco wiekowy, zbudowany prawdopodobnie w połowie osiemnastego wieku, jeden z najstarszych spośród zachowanych we wsi do dziś, wynalazła świeżo poślubiona żona, pochodząca z Bazylei z rodziny słynnych od pokoleń matematyków, Maria (Mia) Bernoulli, ale oczywiście już wcześniej oboje podjęli decyzję o wyniesieniu się z miasta i o rozpoczęciu wspólnego życia w jakiejś ustronnej okolicy. Rok 1904 był więc dla Hessego rokiem przełomu: założenie rodziny, pierwszy dom, nieoczekiwana sława. Zaczęło się nowe życie.

Mieszkam więc teraz z żoną w Gaienhofen, w śmiesznej chłopskiej chałupie (roczny czynsz 150 marek), która, miejmy nadzieję, i w zimie będzie nadawać się do mieszkania. Tymczasem łatam dziury w dachu, naprawiam podłogi itp., mając dużo do czynienia z siekierą i młotkiem. Nasze tutaj życie jest całkowicie samotne i prawdziwie wiejskie, ale niezupełnie można by je nazwać poetycką idyllą. Wioska jest malutka, ma tylko piekarza, ale żadnego innego sklepu, rzeźnika itd. Muszę więc, jak czegoś potrzebujemy, wioślować do Steckborn i tam robić zakupy. Przekracza się przy tym granicę, znam już więc na pamięć całą taryfę celną na produkty



Pierwszy dom Hermanna Hessego w Gaienhofen.

*kuchenne, chociaż oczywiście wolę szmugiel, jeśli tylko jest możliwy. Wkrótce chcę także zacząć łowić ryby*³.

Wynajęta chałupa była dość przestronna, składała się z sześciu izb. Na parterze obok kuchni znajdowała się połączona z nią wspólnym piecem kaflowym jadalnia, pełniąca zarazem funkcję salonu. Przylegał doń mały pokój, który zajmowała żona Hessego. Po wstawieniu sprowadzonego z Bazylei biurka i pianina, na którym Mia wygrywała wieczorami Schuberta albo Chopina, niewiele już w nim zostawało miejsca. Chwiejne schody z desek prowadziły na piętro, gdzie w największym pokoju o dwóch oknach – jedno wychodziło na przykościelny plac, a drugie dawało widok na jezioro – Hesse urządził sobie pracownię i bibliotekę; w pozostałych dwóch pomieszczeniach znalazły się sypialnie. Opisana całość stanowiła jedynie połowę budynku. Drugą część, ze stajnią i stodołą, właściciel pozostawił we własnym użytkowaniu. Hesse nie miałby i tak z tego pożytku, bo prowadzić gospodarki nie zamierzał. We wszystkich swoich następnych domach będzie oddawał się wprawdzie z zapałem uprawianiu ogrodu, ale tu go jeszcze nie miał, bo dom stał na wybrukowanym placu w centrum wsi. Obok znalazło się tylko trochę miejsca na skrawek trawnika z dwoma czy trzema drzewami owocowymi oraz na założoną zaraz po wprowadzeniu się rabatę z nasturcją i słonecznikami, ulubionymi kwiatami pisarza.

Do Gaienhofen nie dochodziła wprawdzie kolej żelazna, ale zakurzony – albo błotnisty, zależnie od pogody – gościniec prowadzący z Radolfzell przemierzał raz dzien-

³ Hermann Hesse, *Gesammelte Briefe. Erster Band 1895–1921*, in Zusammenarbeit mit Heiner Hesse hrsg. von Ursula und Volker Michels, Suhrkamp, Frankfurt am Main 1973, s. 124. Dalej oznaczam jako GB wraz z numerem strony, a w przypadku cytowania drugiego tomu (*Zweiter Band 1922–1935*) dodaję rzymską dwójkę. Adresatem listu z dnia 2 września 1904 był Alexander Freiherr von Bernus.

nie wóz pocztowy, do przystani zaś przybijał kilka razy w tygodniu, co prawda nie zawsze regularnie, szwajcarski parowiec, którym można było wyprawić się do Konstancji. Wieś nie była więc odcięta od świata. To tylko Hesse się łudził, że samemu uda mu się w niej od świata odciąć i nie poddać nudnej stabilizacji życia codziennego. *Próbowaliśmy prowadzić w chłopskiej chacie życie proste, wiejskie, naturalne, prawe – niemodne i dalekie od miejskich wzorców. Myśli i ideały, którymi przesiąknęliśmy, łączyły nas zarówno z Ruskinem i Morrisem, jak i Tolstojem*⁴.

Nowe życie – życie w naturze – z początku mogło się wydawać samemu Hessemu (bo później już tylko postronnemu obserwatorowi) ciekawą alternatywą dla miejskiego przyspieszenia cywilizacyjnego. Życie bez elektryczności, gazu, wodociągu, za to z czystym powietrzem, jeziorem, lasem i otwartym niebem nad głową. Życie wypełnione spacerami lub włóczęgami po okolicy, łapaniem motyli – czemu Hesse oddawał się z wielką namiętnością, kąpielami w jeziorze, pływaniem łódką, wędkowaniem, przesiadywaniem pod gruszą z butelką wina, kontemplowaniem widoków, później także barszkowaniem z dziećmi w ogrodzie. I oczywiście pisaniem. *Muszę regularnie pracować i troszczyć się o dom, ale w gruncie rzeczy przeważnie bumeluję, tylko że mam z tego powodu wyrzuty sumienia. Moja żona jest jednak cierpliwa i pozwala mi na to. Wieczorami siedzimy przy zielonym piecu w naszej drewnianej, chłopskiej izbie,jemy gruszki i czytamy trochę „Don Kichota” albo jakąś inną pogodną książkę*⁵. Tak było może rzeczywiście na początku, później Hesse pisał w Gaienhofen dużo.

⁴ Idem, *Beim Einzug in ein neues Haus* (w:) *Gesammelte Werke*, Bd. 10, Suhrkamp, Frankfurt am Main 1970, s. 142. Cyt. wg niepublikowanego przekładu Łady Jurasz-Dudzik.

⁵ Idem, *Bodensee. Betrachtungen, Erzählungen, Gedichte*, hrsg. von Volker Michels, 4. erweiterte Auflage, Jan Thorbecke Verlag, Sigmaringen 1986, s. 68. Fragment listu Hessego do L. du Bois-Reymond z dnia 11 grudnia 1904.

Pisarz często się fotografował, a jego żona zajmowała się fotografią profesjonalnie, z lat spędzonych nad Jeziorem Bodeńskim pozostało dzięki temu wiele zdjęć⁶ dokumentujących wiejską sielankę, zwłaszcza z pierwszych lat po osiedleniu się na Höri. Przynajmniej kilka spośród tych zdjęć – w połączeniu z fragmentami różnych tekstów Hessego i relacji jego ówczesnych przyjaciół, zwłaszcza Ludwiga Finckha, także pisarza, tyle że trochę mniej zdolnego, który, zachęcony przykładem dawnego kompana z lat nauki w Tybindze osiedlił się w tej samej wsi w 1905 roku⁷ – daje dobre świadectwo naiwnych trochę prób pełnego osadzenia życia w naturze. Hesse zapuszcza brodę, przechodzi na wegetarianizm, z zapalem żegluje i wiosłuje na własnej łódce, zażywa nagich kąpeli w jeziorze, a nawet uprawia nagie wspinaczki skalne. Zabawne nieco z dzisiejszego punktu widzenia usiłowanie przekształcenia się w „Naturmenscha” kryły narastający wewnętrzny dramat. Ucieczka z miasta nie była li tylko banalnym szukaniem szczęścia na łonie natury, ale tak naprawdę miała stanowić swoistą samoobronę przed popadnięciem w mieszczańską rutynę, zagrażającą po założeniu rodziny i po osiągnięciu stabilizacji finansowej niezależnemu dotąd młodemu literatowi, życiowemu wagabundzie. Krótko mówiąc: na wsi miało być łatwiej uniknąć filisterstwa. Co jednak wcale się tak dobrze nie udawało i sprowadzało w gruncie rzeczy do ekscesów. Wszystko więc cały czas okazywało się tylko maskowaniem wewnętrznej walki, jaką Hesse toczył sam ze sobą od początku swego nowego życia. Walki o wolność.

Moje książki stoją teraz na dobrych mocnych półkach i nigdy nie zalegają, jak dawniej, na podłodze i wokół sofy;

⁶ Można je obejrzeć między innymi w dwóch wydawnictwach: Herman Hesse, *Bodensee*, op. cit. oraz Hermann Hesse. *Sein Leben in Bildern und Texten*, hrsg. von Volker Michels, Suhrkamp, Frankfurt am Main 1979.

⁷ Por. Ludwig Finckh, *Gaienhofener Idylle. Erinnerungen an Hermann Hesse*, Verlag Karl Knödler, Reutlingen 1981.

prawie wszystkie są też porządnie opravione. Na ścianach wisi kilka rycin, piec może się palić, jak długo mi się podoba – nie muszę już liczyć drewna i oszczędzać. W piwnicy leży sobie beczulka wina, a w moim starym, blaszanym pudełku jest zawsze dosyć tytoniu. Powodzi mi się więc dobrze, bardzo dobrze; nawet mój kot robi się coraz bardziej tłusty, dostaje bowiem mleka, ile tylko chce. (...) Ale od kiedy zaczęły się wygody przy piecu, od kiedy przyniosłem z plaży wiosła od łodzi i schowałem je już na zimę pod dachem, coraz częściej ogarnia mnie złość na to wygodne życie. Gdy wieczorami, zaraz po zmroku, schodzę na nabrzeże, szumią wokół topole, raz silniej, raz słabiej, wilgotny wiatr owiewa szybko moją postać, po czym sunie na jezioro i pojękując unosi się nad wzburzoną wodą. Wtedy robi mi się źle – i na ciele, i na duszy, bo nie mogę już być, jak dawniej, samotnym wędrowcem. Chętnie oddałbym trochę domu, szczęścia i wygody w zamian za stary kapelusz i plecak⁸.

Opowiadanie pod tytułem *Im Philisterland* (W kraju filistrów) powstało jesienią 1904, zaraz po urządzeniu się w Gaienhofen. To urządzenie pociągnęło jednak za sobą na tyle silne zagrożenie duchowej wolności pisarza, że pozorowanie życia w pełnej zgodzie z naturą nic nie pomagało. To, co wydawać by się też mogło chłopomańską pozą, zachłannym i beztroskim rozkoszowaniem się wiejską sielanką albo zwykłą reakcją na konwencje i ograniczenia życia miejskiego, stanowiło naprawdę próbę zagłuszenia dylematu nękającego Hessego od początku nowego życia, dylematu skądinąd odwiecznego: czy artyście wolno się żenić? Im bardziej robiło się zimno, im dłużej pisarz przesiedywał w domu przy rozgrzanym piecu, głaszcząc po karku kota, zwanego z włoska Gattamelata, czytając Osjana i słuchając dobiegających zza ściany dźwięków granego przez

⁸ Hermann Hesse, *Im Philisterland* (w: *Gesammelte Werke*, Bd. 6, op. cit., s. 176.

żonę Chopina, tym natarczywiej powracało to pytanie. Zwłaszcza, że rozległy widok z okna przesłaniały coraz częściej jesienne mgły.

Rejon Jeziora Bodeńskiego nie należy wprawdzie do najbardziej zamglonych obszarów Niemiec, w górach jest na przykład dużo gorzej, ale trudno tu mgły nie zauważyć. Meteorologiczne normy uznające od 30 do 50 mglistych dni w roku za standard⁹, są w każdym razie znacznie przekroczone. Rekordowy bywa zwykle koniec września i października, kiedy nadjeziorna mgła ma najbardziej klasyczny, żeby tak powiedzieć, charakter i ogranicza widoczność czasem do kilkuset, a czasem do kilkudziesięciu metrów. Przed południem prawie nigdy nie można wtedy zobaczyć słońca. Srebrna tarcza, podobna raczej do księżyca w lisiej czapie, wyłania się bardzo powoli z białych oparów, a zwykłego blasku nie odzyskuje aż do wieczora. Gdy można sięgnąć wzrokiem trochę dalej niż jeden kilometr w linii prostej, fachowcy nie mówią już o mgle, ale o zamgleniach. Tych jest nad jeziorem jeszcze więcej, snują się właściwie przez całą jesień i zimę, tyle że występują okresowo i lokalnie. Jezioro nie ma wtedy drugiego brzegu, woda rozlewa się jakby w poziomie i w pionie. Wszystkie pobliskie kształty – architektoniczne, roślinne czy ludzkie – są niewyraźne, nierealne. A my razem z nimi...

Mam i ja swoje doświadczenia z tą mgłą. Kiedy przed laty po raz pierwszy znalazłem się na południu Niemiec, chciałem jak najszybciej zobaczyć jezioro i choć na chwilę – swoim zwyczajem – zanurzyć w nim rękę, wydobyć jakiś kamyk z dna. Tajemnicza siła przyciągania Jeziora Bodeńskiego działała i w moim przypadku. Z zobaczenia nic wtedy jednak nie wyszło, bo w Konstancji wszystko tonęło

⁹ Por. *Das Klima der Bundesrepublik Deutschland. Lieferung 4: Mittlere Nebelhäufigkeit und Nebelstruktur*, von Margret Kalb und Hans Schirmer, Selbstverlag des Deutschen Wetterdienstes, Offenbach am Main 1992.

w gęstej mgle. Z portowego mola widać było ledwie parę metrów jakiegś nieokreślonej wody. Niecierpliwe spacerowanie po nabrzeżu nic nie pomogło, grudniowy dzień pozostawał zamglony również po południu. Przejście do sąsiedniego miasta, szwajcarskiego Kreuzlingen, z naiwną wiarą, że w innym państwie mogą panować inne warunki pogodowe, niczego oczywiście nie zmieniło. Jeziora nie było. Nie mogłem wówczas zostać do następnego dnia, musiałem wyjechać z Konstancji, nie zobaczywszy Jeziora Bodeńskiego. Od tego czasu minęło sporo lat, w ciągu których wiele razy widywałem jezioro, w różnych miejscach, z różnych stron, z bliska i z daleka. Ale długo nie udawało mi się zobaczyć wszystkiego. Bo nawet pogodny z pozoru dzień nie oznacza jeszcze nad jeziorem pełnej widoczności. Dopiero za którymś razem mogłem się przekonać, że widok z niemieckiego brzegu na jezioro, na południe, dopełniają Alpy. Dopiero wtedy, kiedy horyzont zamykają szczyty Alpsteinu i Alp Glarneńskich, powstaje całość: wielka woda i wysokie góry. Ani jednego, ani drugiego nie zobaczyłem również przy pierwszej wizycie w Gaienhofen. W końcu września nie mogło być inaczej. Mogła być tylko mgła, opisywana wielokrotnie przez Hessego, najciekawiej może w szkicu *Ein Septembermorgen am Bodensee* (Wrześniowy ranek nad Jeziorem Bodeńskim).

Musiła mu się dawać we znaki. To wtedy najczęściej chciał rzucić wszystko i uciekać. Czasami poprzestawał na napisaniu wiersza, na przykład pięknego *Im Nebel* (We mgle) – o samotności i wędrowaniu, czasami po prostu naciskał na głowę kapelusz i wybiegał z domu, by wrócić po kilku godzinach lub kilku dniach; czasami wyjeżdżał dalej i na długo. Jedną z takich krótkotrwałych, gwałtownych ucieczek opisał wspomniany tu już Finckh. Hesse wylądował wtedy w pobliskiej wsi Iznang i w tamtejszej gospodzie „Pod Orłem” opróżniał z przygodnym kompanem jeden dzbanek po drugim. Tym razem miejscowe wino nie było

mu widocznie za kwaśne, na co przy innych okazjach chętnie utyskiwał. Późno w nocy zdołał jeszcze napisać kartkę do żony następującej treści: *W mej podróży poprzez europejskie kraje i kultury zawitałem do Iznang, skąd posyłam ci pozdrowienia. Bądź zdrowa!*¹⁰ Po czym zapewne wylał sobie kubek wody na głowę i wrócił do domu, by następnego dnia przyglądać się ironicznie z boku, jak listonosz wręcza żonie nocną korespondencję.

Niejednokrotnie uciekał też na jezioro, na łódce mógł być pewien swej samotności, łódka zapewniała mu izolację, dystans od spraw domowych i zawodowych. *Jakże kocham ten mały zwiny pojazd!* – wyznawał w szkicu *Hochsommer* (Pełnia lata). – *Ze wszystkich rzeczy, jakie posiadam, ta jedna wywołuje same mile, czyste, drogie mi wspomnienia!*¹¹

Z zazdrością obserwował przechodzących przez wieś rozmaitych włóczęgów czy wędrownych rzemieślników. Ich nic nie trzymało na miejscu. Nie mieli ani domów, ani żon, ani pieniędzy. *Każdy z was – zwracał się Hesse z apostrofą do takich domokrażców – choćbym mu i podarował właśnie piątką, wydaje mi się królem. Z całym należnym szacunkiem, podziwem i zazdrością!*¹² Pewnego dnia pisarz nie poprzestał na spoglądaniu z zazdrością z okna. Jak relacjonował Ludwig Finckh: *Raz przechodzili przez naszą wieś czterej dziwaczni wędrowcy, z długimi włosami, w sandałach, z gołymi nogami... Hesse zaraz się podniecił i pospiesznie ruszył za nimi. Do Ascony. Nie było go dłużyj czas, wreszcie wrócił: chudy jak szczapa, opalony na brąz i niezmiernie na wszystko wrażliwy!*¹³ Na Monte Verità pod Asconą w południowej Szwajcarii, nad Lago Maggiore, od kilku lat funk-

¹⁰ Cyt. wg: Ludwig Finckh, op. cit., s. 64.

¹¹ Hermann Hesse, *Hochsommer* (w:) *Gesammelte Werke*. Bd. 6, op. cit., s. 191.

¹² Idem, *Lindenblüte*, op. cit., s. 195.

¹³ Ludwig Finckh, *Himmel und Erde*, Silberburg-Verlag Jäckh, Stuttgart 1961, s. 47.

cjonowała wtedy wiejska wspólnota rozmaitych „naprawiaczy świata”, wyznawców przeróżnych utopii, apostołów duchowego samodoskonalenia, wolnej miłości, pacyfizmu, wegeterianizmu, naturyzmu i Bóg wie, czego jeszcze. Biografowie Hessego datują jego pobyt w ascońskiej komunie na kwiecień 1907, Finckh mówi jednak o lecie 1906. Albo przyjaciela zawiodła pamięć, albo pisarz był na Monte Verità dwa razy. Nieważne, skutek okazał się bowiem jednoznaczny: rozczarowanie, któremu Hesse dał wyraz, dość złośliwy zresztą, w kilku swoich późniejszych utworach. W jednym z nich, mniej znanym szkicu *In den Felsen. Notizen eines „Naturmenschen”* (Pośród skał. Notatki „Naturmenscha”), drukowanym w 1908 roku w czasopiśmie „März”, doszło do głosu nawet wiele autorskiej autoironii. Eksperyment się więc nie powiódł, trzeba było wrócić do domu. I znowu zeń wyjeżdżać: do Włoch, do Szwajcarii, do północnych Niemiec albo tylko do Konstancji, Bazylei lub Monachium. Albo jeszcze bliżej, z odwiedzinami do przyjaciół i znajomych, do poetów, malarzy i muzyków coraz liczniej zamieszkujących wybrzeże Jeziora Bodeńskiego: Emila Strauβa w Überlingen, Emanuela von Bodmana w Gottlieben, Paula Ilga w Salenstein, Ernsta Würstenbergera w Emmishofen i innych. Rozterkom ciągle nie było jednak końca.

Bo: ...tyle się ostatnio zdarzyło, ożeniłem się itd., ale razem z wcześniejszymi problemami finansowymi zniknęła duża część mojej pięknej wolności. Wyolbrzymiane sukcesy „Petera [Camenzinda]” wcale mnie nie cieszyły – poza, oczywiście, pieniędzmi. Stałem się modny, a tego nigdy nie chciałem (GB 132). Bo: Żałuję, że nie wydałem „Camenzinda” anonimowo, oddałbym za to ostatniego feniga. To bycie sławnym jest nędzną, smutną i właściwie bardzo śmieszną rzeczą. Nie ma dnia, żeby autorzy nie przysyłali mi swoich nowych książek, wydawcy czczych komplementów, a debiutanci manuskryptów. Niedawno przestałem na to wszystko

reagować (GB 136). Bo: *Pięknie i przyjemnie jest tak siedzieć przy swoim solidnym stole, mieć nad głową bezpieczny dach, przyzwoite wino w dzbanku, świecącą jasno lampę, a za otwartymi drzwiami żonę przy pianinie, dźwięki Chopina i blask świec... Ale nagle rośnie we mnie – jak bańka mydlana – pytanie: czy jesteś właściwie szczęśliwy?*¹⁴

Kilka miesięcy po narodzinach pierwszego syna, Brunona, po rozczarowujących obserwacjach eksperymentów egzystencjalnych wspólnoty z Monte Verità, Hesse z żoną postanawiają opuścić wynajmowaną, dość prymitywną, szachulcową chałupę i wybudować sobie w Gaienhofen własny, wygodny dom. Na początku 1907 roku kupują ziemię, nieco poza wsią, na wzgórzu, by mieć jeszcze rozleglejszy widok z okien na jezioro. Parcela, położona w odległości piętnastu minut drogi od brzegu, pod lasem, jest duża, będzie można wreszcie założyć ogród z prawdziwego zdarzenia. Finansowy aspekt przedsięwzięcia wyglądał korzystnie dzięki pomocy teścia Bernoulliego, który po urodzinach wnuka przewyciężył swą początkową niechęć do Hessego i wyłożył teraz – w formie zaliczki na poczet należnego po nim w przyszłości spadku – większą część sumy potrzebnej na pokrycie kosztów budowy, obliczanych na 16 000 marek, a wraz z wyposażeniem na około 20 000. Projekt domu przygotował zaprzyjaźniony bazylejski architekt Hans Hindermann, mieszkający wówczas po drugiej stronie jeziora, w Steckborn. Zdaje się, że to głównie Mia Hesse, wywierająca zawsze – póki trwał ten związek – duży wpływ na męża i odgrywająca niemałą rolę w kształtowaniu jego gustów i całej postawy życiowej, współpracowała z projektantem przy powstawaniu planów, przekazując mu swoje wizje oraz wyobrażenia o przyszłej siedzibie. Nowy dom niewiele miał mieć wspólnego – poza widokiem na jezioro – z poprzednią chałupą koło kaplicy. Parter mu-

¹⁴ Hermann Hesse, *Wenn es Abend wird*, op. cit., s. 182.

rowany, piętro w drewnie, dach czterospadzisty, balkon, weranda, osiem pokoi, wysoka piwnica z ciemnią fotograficzną, wodociąg, kanalizacja. Jednym słowem wygodna i okazała willa. Dla Hessego najważniejszy był oczywiście jego gabinet – z widokiem! Półki na książki postanowił wbudować w ściany, biurko przenieść ze starego domu, pod oknem ustawić pulpit do pisania, a ściany przyozdobić obrazami otrzymanymi od zaprzyjaźnionych malarzy. Dużą wagę przywiązywał do ogrzewania, bo lubił ciepło. Specjalnie sprowadzał kafle na piec w dokładnie określonym odcieniu zieleni. Snuciu planów i samej budowie cały czas towarzyszyła zapewne jednak nuta niepokoju: czy klatka ostatecznie się nie zamknie?

Latem 1907 roku budowa została ukończona, zaraz potem nastąpiła przeprowadzka. W samą porę, bo Mia spodziewała się drugiego dziecka. Hessem targają mimo to ambiwalentne uczucia. Już z nowego domu, nazwanego domem „Pod Olszynką”, pisze 31 lipca list do Josefa Victora Widmanna: *Jestem właśnie w trzydziestym roku życia, który przyniósł mi poważny kryzys: najpierw zdrowotny z chorobą, kuracją i powolnym leczeniem, potem zaś duchowy. Kiedy młody człowiek rezygnuje nagle bez przymusu z rozkoszy stołu, cygar i kawy, to musi wynaleźć sobie do tego jakąś odpowiednią filozofię. Tym właśnie zajmuję się od kilku miesięcy* (GB 140). Nie tylko jednak tym, dużo bowiem pisze, wydaje z sukcesem tom opowiadań, pochłania go też zakładanie pierwszego własnego ogrodu z prawdziwego zdarzenia. *Prawie ważniejszy od domu był dla mnie ogród – opowiadał po latach. – Własnego ogrodu do tej pory nigdy nie posiadałem, a z wyznawanych przeze mnie zasad dotyczących wiejskiego życia wynikało samo przez się, że powinienem takowy własnoręcznie założyć, obsadzić i pielęgnować*¹⁵. Sadzi więc drzewa: kasztanowce, lipę i katalpę, sadi

¹⁵ Idem, *Beim Einzug in ein neues Haus*, op. cit.



Półwysep Hori z Gaienhofen nad Jeziorem Bodeńskim,
w głębi wyspa Reichenau.

zywopłot z grabiny, krzewy malin i drzewa owocowe. Długą alejkę prowadzącą do wejścia obsiewa ulubionymi słonecznikami i nasturcjami. Ale gdy słoneczniki uschną, a nad jeziorem rozsnują się jesiennie-zimowe mgły, znowu opadną go wątpliwości: (...) *w naszym domu i w naszym życiu wszystko wygląda całkiem przyjemnie, żona i chłopiec dobrze prosperują i są weseli, również ja czuję się lepiej niż w zeszłym roku. Ale w młodości inaczej wyobrażałem sobie szczęście, teraz więc jestem ciągle głupio niezadowolony, że wszystko potoczyło się trochę inaczej niż marzyłem* (GB 144). Swoim rozterkom daje Hesse wyraz nie tylko w listach do przyjaciół, ale też, a może przede wszystkim, w ówczesnej twórczości. Zaczyna pisać *Przedwiośnie* – pierwsze z trzech dłuższych opowiadań wydanych razem dopiero w 1915 roku pt. *Trzy opowieści z życia Knulpa*. Nieustabilizowaną i nie zrównoważoną egzystencję głównego bohatera, poety i wędrowca, niejakiego Knulpa, przeciwstawia w nich zasiedzialemu, domowemu życiu jego przyjaciela. Jak widać, to właściwie cały czas ten sam dylemat: czy artyście wolno się żenić?

Z nowego domu Hesse też czasami ucieka. Pod byle pozorem. Do ucieczki mógł „zmusić” na przykład... zielony piec kaflowy w gabinecie: (...) *grzał wprawdzie dobrze, ale kiedy zaczynał wiać föhn, powstawały w jego wnętrzu takie ilości gazów, że nie dawał rady odprowadzić ich na zewnątrz; wówczas coś w środku eksplodowało, a dźwięk ten mam jeszcze do dzisiaj w uszach. Pokój zapelniał się natychmiast dymem, czadem i sadzą, jak najszybciej trzeba było wygarnąć i ugasić ogień, po czym pędzić do oddalonego o dwie godziny drogi Radolfzell po zduna. Przez parę dni nie mogło być mowy o ogrzewaniu i pracy. Zdarzyło mi się to ze trzy albo cztery razy, w tym dwukrotnie postanowiłem od razu po wybuchu wyjechać. Jak tylko usłyszałem złowieszczy dźwięk i ujrzałem zadymiony pokój, pakowałem torbę i uciekałem, wstępowałem do Radolfzell, żeby umówić zduna, po czym udawałem*

się prosto do Monachium, gdzie jako współwydawca czasopisma zawsze miałem coś do zrobienia¹⁶. Tak znakomity pretekst opuszczenia domu trafiał się jednak rzadko. Pozostałe podróże były na ogół wcześniej planowane: spotkania autorskie, odczyty, wizyty, wędrowki po górach. Choć, jeśliby policzyć dni i tygodnie, większą część czasu spędza wtedy w Gaienhofen, to jednak nie może długo usiedzieć na miejscu. *Czasami muszę ruszyć znienacka w drogę – pisze w 1909 do przyjaciela – powalęsać się trochę po obcych miastach, przepić kilka zwariowanych nocy; opanowuje mnie przy tym jakieś komiczne poczucie cudowności życia – jeśli umiałbym to potem wyrazić, moje wierszowanie miałoby sens* (GB 154). Kiedy w marcu 1909 roku urodzi się drugi syn, Heiner (drugi, bo poprzednia ciąża Marii zakończyła się we wrześniu 1907, zaraz po przeprowadzce, poronieniem), Hesse oddawać się będzie życiu rodzinnemu tylko przez kilka miesięcy. Latem wyjedzie do szwarcwaldzkiego kurortu Badenweiler podreperować zdrowie i nerwy. Sanatorium jest świetnym schronieniem, nie trzeba się o nic troszczyć, a jedynie poddawać wskazówkom innych. Żadnej odpowiedzialności, za to dużo czasu na rozmyślania. Łatwo też pozbyć się poczucia winy z powodu opuszczenia rodziny. Przeciwnie, można nawet domagać się współczucia. Hesse polubi życie „u wód”. Maj 1910 i sierpień 1912 znowu spędzi w zakładzie profesora Fraenkla w Badenweiler, w 1916 odwiedzi Sonnmatt pod Lucerną, a od 1923 będzie rokrocznie bywał w Baden koło Zurychu, czego literackim świadectwem stanie się później dłuższe opowiadanie *Kuracjusz*, zajmujące poczesne miejsce w europejskiej literaturze sanatoryjnej.

Wśród wielu zachowanych fotografii Hessego jedna jest szczególnie wymowna: przez środek równinnego, pustego krajobrazu – z kilkoma drzewami i małymi domkami po

¹⁶ Ibidem.

bokach – ciągnie się długi, jasny gościniec; idealnie prosto, daleko w górę, aż po horyzont. Drogą tą wędruje dwóch mężczyzn w ciemnych ubraniach, w kapeluszach na głowie. Ten z lewej strony to Othmar Schoeck, kompozytor muzyki do wielu wierszy Hessego i jego bliski przyjaciel. Na plecach niesie nieduży tobołek, w rękę trzyma płaszcz. Idący obok Hermann Hesse nie ma bagażu, poza przerzuconym przez rękę jakimś okryciem. Obaj patrzą nieco w bok, widząc więc, że mają w ustach cygara. Są odwróceny plecami do fotografa. Idą w świat, prosto przed siebie. Rzecz dzieje się w kwietniu 1911 we Włoszech, w Umbrii, droga prowadzi do Castiglione. A dalej jeszcze do Asyżu, Orvieto, Spoleto... To z tej podróży pochodzą dwie kartki Hessego do żony Mii, jedyne spośród mężowskich listów, jakie ocalały z pożaru w jej domu w 1942 roku. Pierwsza z nich, wysłana z Orvieto 26 kwietnia 1911, zawiera zachwyty nad rozgwieżdżonym włoskim niebem, druga, pisana dwa dni później ze Spoleto – propozycję, by zamieszkali kiedyś na miesiąc lub dwa w tej bajkowej okolicy (GB 193). W maju, po powrocie do domu, w liście do drugiego, oprócz Schoecka, współtowarzysza włoskiej włóczęgi, zapewne też autora opisanego zdjęcia, muzyka Fritza Bruna, Hesse pisze: *Dałbym sobie uciąć lewą rękę za to, żeby móc znowu być biednym, wesółym kawalerem, który nie ma nic prócz dwudziestu książek, zapasowych butów i pudła pełnego skrycie pisanych wierszy. Tymczasem jestem ojcem rodziny, posiadaczem domu i zanadto lubianym autorem...* (GB 194). Wydany wkrótce tom poezji też nosił znamienity tytuł: *Unterwegs* (W drodze). Ale nawet wyjazdy nie zawsze przynoszą uspokojenie i ukojenie. Zimą 1909 pisze: *Niezadowolenie, poczucie osamotnienia, melancholia dokuczają mi coraz bardziej, coraz mi trudniej z tym wytrzymać. Podróże niewiele pomagają...* (GB 163). A jakby tak spróbować czegoś całkiem nowego?

Stosunkowo niedaleko od Gaienhofen, we Friedrichshafen, drugim co do wielkości miście nad Jeziorem Bodeń-

skim, w 1900 roku graf Ferdinand von Zeppelin skonstruował swój pierwszy statek powietrzny, nazywany do dziś jego imieniem albo sterowcem. Odtąd, od czasu do czasu, wielki, ponad studziesiętometrowej długości zeppelin przesuwał się dostojnie w powietrzu pomiędzy zielononiebieską wodą jeziora a błękitnobiałym niebem. Być może, jeśli nie było akurat mgły, Hermann Hesse mógł dostrzec pękaty kształt z okien swej pracowni. Musiało go kusić takie szybowanie w przestworzach. Dlatego, gdy nadarzyła się okazja, 23 lipca 1911, zajął chętnie miejsce na pokładzie nowego sterowca o nazwie „Schwaben” – jako jeden z honorowych gości. Nie przeszkadzało mu, że żona znajdowała się w zaawansowanej ciąży (za trzy dni miał się urodzić trzeci syn, Martin), że zaproszenie przyszło w ostatniej chwili. Powietrzna podróż była zbyt wielką gratką. Spakował manatki w ciągu dwudziestu minut po odejściu listonosza, złapał ostatni statek do Konstancji, stamtąd przepłynął na drugi brzeg do Meersburga i wieczorem dotarł na miejsce, do Friedrichshafen. Następnego dnia po raz pierwszy w życiu mógł popatrzeć na jezioro z góry, z powietrza. Hesse poleciał w kierunku wschodnim, nad Wasserburgiem, Lindau ku Bregencji, największemu miastu na austriackim kawałku wybrzeża, i dalej na południe doliną górnego Renu aż po Feldkirch, mijając po drodze, po prawej stronie, szczyty Alpsteinu, na które patrzył zwykle z daleka, z okien swego gabinetu – jeśli nie było akurat mgły. W dniu lotu pogoda dopisała, pisarz mógł więc przez dwie godziny powietrznego rejsu rozkoszować się widokami, a swoje doznania opisać później w gazecie, w „Basler Nachrichten”¹⁷. Czy unosząc się w powietrzu rozmyślał też o przygotowywanej od kilku tygodni najdłuższej i najdalej ucieczce, o podróży na Wschód? Zapewne. Miał już przecież zamówiony bilet na statek do Singapuru.

¹⁷ Idem, *Spazierfahrt in der Luft*. Późniejszy przedruk w: *Die Kunst des Müßiggangs. Kurze Prosa aus dem Nachlaß*, hrsg. von Volker Michels, Suhrkamp Verlag, Frankfurt am Main 1973.

Hesse miał duże doświadczenie w uciekaniu, bo wcześniej zaczął, już w latach szkolnych. We wrześniu 1891 ojciec oddał go do seminarium klasztornego w Maulbronn, do słynnego wirtemburskiego gimnazjum ewangelickiego, otwierającego drogę do studiów teologicznych w Tybindze i późniejszej kariery duchownej albo pedagogicznej. Czternastoletni Hermann wytrzymał tam pół roku, po czym któregoś marcowego popołudnia uciekł i przepadł bez śladu. Odnaleziony następnego dnia w pobliskim lesie bynajmniej nie okazał skruchy, został więc osadzony na osiem godzin w karczerze – który to czas wykorzystał na napisanie satyrycznego wierszyka *Der Karzer* (zaczynającego się od słów parodiujących Goethego: *Znasz-li ten kraj, gdzie żaden nie kwitnie kwiat, / Ten ciemny loch, gdzie nie zagląda Bóg...*) – a potem wyrzucony ze szkoły. To wtedy postanowił, że albo będzie poetą, albo nikim. Teraz, trzydziestokilkuletni, był już poetą, ale nie przestawał uciekać. W różne miejsca i na różne sposoby. Na przykład na Wschód.

My dear father! As I have written on a postcard, we have got a little boy the day before yesterday. The little fellow is in good health and likewise the mother. Butzi and Heinerli have a great pleasure in the new brother. Maria has a nurse that is very good and kind, and we find it better that she has remained here instead of going to Basle or Zürich. (...) I would like to drive in this way to India! (GB 195). W ten niekonwencjonalny sposób powiadamiał Hesse ojca o urodzeniu się trzeciego syna. Szlifował przed podróżą swój słaby angielski. Potem wszystko potoczyło się szybko. Żona i niemowlak czuli się dobrze, mąż i ojciec spakował więc kufry, by w pierwszych dniach września 1911 roku wyruszyć w drogę, razem z przyjacielem, malarzem Hansem Sturzeneggerem. Przez Szwajcarię i Lombardię do Genui, a stamtąd statkiem „Prinz Eitel Friedrich” przez Kanał Sueski na Wschód. W późniejszych latach Hesse zżymał się, że „gorliwi i impertynencycy psychologowie” nazywają coś

takiego ucieczką, tymczasem miała to być „próba spojrzenia na siebie z dystansu”¹⁸. Mniejsza o nazwy. Słowo „ucieczka” nie wydaje mi się *notabene* pejoratywne. Zależy to zresztą, od czego uciekamy. Albo – do czego. Pierwszy biograf Hessego, Hugo Ball, napisał o tej podróży, że jej pomysł narodził się „z najgłębszej wewnętrznej potrzeby”¹⁹. To wystarczające uzasadnienie. Należy pamiętać, że zainteresowanie Wschodem nie było u Hessego czymś sztucznie wydumany, egzotycznym czy wręcz egzaltowanym. Przeciwnie, Wschód był w jego życiu obecny – jako miejsce urodzenia matki, jako pole działalności misjonarskiej ojca – od najwcześniejszego dzieciństwa. O Indiach mówiło się w domu rodzinnym bez przerwy, na półkach stało mnóstwo książek na ten temat, łącznie z cenionymi w sferach naukowych publikacjami językoznawczymi dziadka Gunderta, a na co dzień jadło się ryż z curry. Podróż Hessego – w poszukiwaniu samego siebie – właśnie na Wschód była najbardziej naturalnym z możliwych wyborów.

Cała ta podróż to temat na oddzielne opowiadanie. Wiele już zresztą o tym pisano. Zastanawiające, że Hesse właściwie tylko otarł się o Indie. Jego szlak prowadził zasadniczo na Cejlon, przez Kuala Lumpur i Singapur do Indonezji, na Sumatrę i Borneo. Nigdzie nie znalazł nowych, ożywczych impulsów duchowych. Nie doznał żadnego olśnienia, nie przeżył metamorfozy, jaka zdarzała się i zdarza w Azji wielu Europejczykom, przede wszystkim zaś nie zyskał spodziewanej równowagi wewnętrznej. Raczej się zawiódł. Dokuczał mu upał, tłok, insekty, brud, zapachy, choroby. Ciągłe myślał chyba bardziej o sobie aniżeli o tym, co dookoła. Wielkie wrażenie zrobiła na nim przy-

¹⁸ Hermann Hesse, *Beim Einzug in ein neues Haus*, op. cit.

¹⁹ Hugo Ball, *Hermann Hesse. Sein Leben und sein Werk*. Suhrkamp, b.m. 1947, s. 135. Pierwsze wydanie tej biografii ukazało się na pięćdziesiąte urodziny Hessego, w roku 1927 w wydawnictwie S. Fischer w Berlinie.

roda, przeżyciem był jeden z ostatnich widoków, jaki zobaczył krótko przed wyruszeniem w końcu listopada w powrotną drogę: z najwyższego szczytu Cejlonu. Dopiero po jakimś czasie, po kilku latach, zaczął odnajdywać w swych azjatyckich doświadczeniach nie dostrzeżone zrazu sensory. Co wśród skutków literackich przyniosło między innymi *Siddharthę*. *Sama podróż stanowiła właściwie rozczarowanie* – podsumowywał w 1923 roku w liście do Romain Rollanda – *tzn. w tamtym momencie, bo później wydała piękne owoce. Ale wtedy, kiedy zmęczony Europą uciekłem [jednak! – przyp. W.D.] do Indii, nie znalazłem tam nic poza egzotyką. Ta materialna egzotyka bardziej mnie w czasie podróży oddzieliła od znanego mi już wcześniej i poszukiwanego ciągle hinduskiego ducha niż przybliżyła do niego* (GB II, 56). Być może Hesse potrzebował takiej przerwy w europejskim życiorysie, by utwierdzić się w kiełkujących już od pewnego czasu podejrzeniach, że powinien porzucić jeśli jeszcze nie rodzinę, to przynajmniej nadjeziorne mgły. Skoro Wschód nie przyniósł wyzwolenia, należało szukać dalej. Nie załując wiejskiej idylli, która okazała się mitem.

Trzeba było wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy.

Dom stawialiśmy na wieczność, ale nie trwała ona długo. Gaienhofen wyczerpało się, nie było już tu życia dla mnie, wyjeżdżałem często w krótkie podróże, świat na zewnątrz był taki wielki (...). Wyjazd [na Wschód] nie wystarczył. Z czasem do nie wypowiedzianych wewnętrznych przyczyn naszego niezadowolenia doszły powody zewnętrzne, łatwiejsze do przedyskutowania między mężem i żoną. Na świat przyszedł drugi i trzeci syn, najstarszy powinien już pójść do szkoły. Żona tęskniła czasami za Szwajcarią, bliskością miasta, przyjaciółmi i muzyką, zaczęliśmy więc przyzwyczajając się do myśli, żeby sprzedać dom i traktować lata spędzone w Gaienhofen jako epizod. (...) Błąd, który popełniłem, osiadając w Gaienhofen, nie polegał na tym, że myliłem się co do istoty chłopskości i tak dalej; najgorsze było to, że część mo-

jej świadomości chciała czegoś zupełnie innego niż moje prawdziwe popędy²⁰.

Trzeba było wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy.

(...) Mam poczucie, że nigdzie nie mogę przyrosnąć na stałe, niech więc przynajmniej próbują tego moja żona i dzieci. Ja i tak zawsze będę dużo wędrował i podróżował, a mój związek z rodziną coraz bardziej ogranicza się od lat do tego, że męcę się z zapewnieniem jej środków na utrzymanie (GB 210).

Tylko widoku było żal.

Widoku Dolnego Jeziora będzie brakować mi całe życie (...). Nie wiem, czy znajdę jeszcze kiedyś taki pokój, do którego ze wszystkich stron zagląda daleki, jasny, niczym nie skażony krajobraz. (...) Nasze Untersee wydaje mi się ładniejsze niż jakakolwiek inna część Jeziora Bodeńskiego, szczególnie zaś nasze badeńskie wybrzeże, Hõri, gdzie kilometrami ciągnie się spokojny, płaski brzeg, nie zniszczony, tylko – jak przed wiekami – z sitowiem i zaroślami, z ławicami małych ryb, z gniazdami kaczek i czajek²¹.

Nowy widok Hesse znalazł w Szwajcarii, na przedmieściach Berna. Wprawdzie bez wielkiej wody widocznej z okien gabinetu, ale za to z wielkimi górami. Z najpiękniejszymi górami, jakie znajdują się w głównym paśmie berneńskich Alp, z wiecznie białymi szczytami grupy Jungfrau. Ale ten nowy widok i nowe życie Hermanna Hessego nie są już przedmiotem niniejszego szkicu. Przeprowadzka nastąpiła we wrześniu 1912 roku. Pakowanie pozostawił pisarz żonie i wynajętym robotnikom, sam zaś, pożegnawszy dom, ogród, brzegi jeziora i sąsiadów, pojechał na kilka dni w góry, korzystając z zaproszenia dyrekcji kolejki na

²⁰ Hermann Hesse. *Beim Einzug in ein neues Haus*, op. cit.

²¹ Idem, *Untersee* (w:) *Bodensee*, op. cit., s. 252.

Jungfrauojch. Dopiero stamtąd, zatrzymując się jeszcze po drodze w Thun, udał się do nowego domu. Swojego trzeciego z kolei domu, choć nie kupionego, ale wynajętego, podobnie jak pierwsza chałupa w Gaienhofen. W podberneńskim Ostermündingen mieszkał Hesse siedem lat. Dopiero po tych siedmiu latach – trudnych nie tylko ze względu na osobiste depresje, początki schizofrenii Marii i chorobę najmłodszego syna, ale i z powodu toczącej się pierwszej wojny światowej – odpowiedział sobie na nękające go tyle lat pytanie: czy artyście wolno się żenić? Odpowiedź była negatywna, choć, jak się okaże, tylko przejściowo. W 1919 roku Hesse opuścił rodzinę, którą pewnie najłatwiej było obarczyć odpowiedzialnością za narastający kryzys. W przewyciężeniu nawracających raz po raz stanów depresyjnych, ciągnących się z przerwami przez wszystkie lata spędzone w Gaienhofen i w Bernie, pomogła mu także – może bardziej niż późniejszy rozwód – psychoterapia Carla Gustava Junga. Wkrótce potem pisarz odkrył swoje miejsce na ziemi: po drugiej stronie Alp, w słonecznej, włoskojęzycznej części Szwajcarii, w kantonie Ticino (Tessin). Czwartym dom znalazł we wsi Montagnola koło Lugano, znowu w przepięknej okolicy, znowu z jeziorem i górami. Ale ze zdecydowanie mniejszą ilością mgieł. Tam żył długo – przeprowadzając się jeszcze tylko raz w obrębie tej samej miejscowości, dwa razy zaś się żeniąc: epizodycznie ze śpiewaczką Ruth Wenger, ostatecznie w 1931 z historyczką sztuki Ninon Dolbin – i chyba coraz bardziej szczęśliwie.

Gaienhofen pozostaje dzisiaj tak samo na uboczu jak za czasów Hessego. Rozbudowało się tylko, zabudowało widoki z obu domów pisarza. Do domu „Pod Olszynką”, nie stojącego już tak daleko, ale po prostu w zachodniej części wsi, przy ulicy – oczywiście! – Hermanna Hessego, wejść nie można. Sprzedany przez Hessego w 1912 roku, jest do dziś własnością prywatną. Ale w pierwszym domu,

w chałupie koło kościółka urządzono niedawno małe muzeum. Z wyjątkiem oryginalnego biurka, pierwszej maszyny do pisania oraz kilku przedmiotów przywiezionych z azjatyckiej podróży nie ma w nim zbyt wielu ciekawych eksponatów. Pamiątkami musiały podzielić się bowiem aż trzy hesseańskie muzea: w Calw, w Gaienhofen i w Montagnoli; większość rękopisów trafiła zaś do Niemieckiego Archiwum Literackiego w Marbach. Na stryżku domu w Gaienhofen urządzono za to małą czytelnię książek napisanych przez późniejszego noblistę nad Jeziorem Bodeńskim. Można sobie poczytać o widokach, krajobrazach, pobliskich wyprawach i oczywiście o samym Hessem, przetwarzającym stale, w większości utworów, swój życiorys i swoje dylematy na literaturę. Potem zaś można przejść się po okolicy i własnymi oczami popatrzeć na wszystko dookoła – przy okazji zaś także na siebie. Jeśli oczywiście nie ma akurat mgły.

Czerwiec 1999

Czarodziejskie Davos

Thomas Mann i Hans Castorp przyjechali do Davos tą samą drogą, od strony Niemiec. Po przeprawieniu się promem przez Szwabskie Morze, czyli Jezioro Bodeńskie wsiedli ponownie do pociągu już na szwajcarskim brzegu, w Rorschach. Osiemdziesięciokilometrowa podróż na południe w górę Renu nie trwała zbyt długo. Byli jeszcze „na dole” i lokomotywa ciągnęła wagony dość raźnie. Dopiero na małej stacji Landquart musieli się przesiąść do wąskotorowej kolejki retyckiej i od tej pory zaczęli się piąć ostro pod górę. Pokonanie ostatniego, pięćdziesięciokilometrowego odcinka drogi zabrało im trzy godziny. Ale też żeby osiągnąć przełęcz St. Wolfgang, kulminację tej trasy tuż przed Davos, kolejka miała do przebycia ponad tysiąc metrów wysokości, osiem tuneli i pięćdziesiąt siedem mostów lub wiaduktów. Wóz pocztowy, jedyny tam publiczny środek lokomocji do 1890 roku, to znaczy do otwarcia połączenia kolejowego, potrzebował na przejazd odcinka Landquart – Davos aż siedmiu godzin. Prywatne automobile, zgodnie z zarządzeniem miejscowych władz, nie miały wstępu do całego kantonu Graubünden aż do roku 1925. Z St. Wolfgang trzeba było jeszcze tylko trochę zjechać – raptem siedemdziesiąt metrów w dół na odcinku trzech kilometrów – i, zostawiając po prawej stronie niewielkie je-

zioro, dotrzeć wreszcie do celu, stacji Davos-Dorf (Davos-Wieś) na wysokości 1560 m n.p.m. To trochę tak, jak byśmy z Chabówki dojechali pociągiem via Zakopane wprost do Doliny Pięciu Stawów Polskich.

Gdyby na dworcu w Davos-Dorf nikt nie oczekiwał naszych podróżnych, pojechaliby zapewne jeszcze dwa kilometry dalej, do stacji Davos-Platz (Davos-Uzdrowisko), gdzie kolej retycka kończyła swój bieg. Dolina ciągnęła się wprawdzie jeszcze spory kawałek, ale aż do lat trzydziestych, kiedy przebito następne tunele i w ten sposób połączono szlak kolejowy poprzez Filisur z odcinkiem Chur – St. Moritz, była zamknięta. Davos znaczyło niegdyś w retoromańskim *dahinten*, czyli „tam z tyłu”.

W połowie maja 1912 roku oczekiwała męża na peronie Katja Mann, która od dwóch miesięcy przebywała tu na kuracji. Hansa Castorpa witał w pierwszych dniach sierpnia 1907 jego chory na gruźlicę kuzyn Joachim Ziemssen. Po przywitaniach wyruszono na kolację do tego samego sanatorium: Waldsanatorium profesora Jessena vel Berghofu radcy Behrensa. Ale droga obu dorożek wyglądała zupełnie inaczej. Mannowie pojechali na prawo ulicą Poczтовую, potem Hauptstrasse – dzisiejszą Promenadą – i koło Kurparku skręcili do góry w Scalettastrasse, dalej zaś zakosami dotarli do wysoko pod lasem położonego budynku sanatorium, obecnie Hotelu Bellevue. Kuzyni natomiast z początku jechali równoległe do szyn kolejowych, wzdłuż doliny, nieregularnie zabudowaną drogą, potem skręcili na lewo [podkr. W.D.], przecięli wąski tor, przejechali ponad strumieniem i zaczęli wspinać się stępą po łagodnej pochyłości ku zboczom gór, porośniętych lasem. Przed nimi, na małym zielonym płaskowyzu, widać było podłużny budynek, zwrócony frontem ku południowemu zachodowi...¹ Tak opisana droga prowadziła i prowa-

¹ Tomasz Mann, *Czarodziejska góra*, przeł. Jozef Kramsztyk, Czytelnik. Warszawa 1982, t. I, s. 13.



Waldsanatorium w Davos przed przebudową.

dzi do dawnego międzynarodowego sanatorium doktora Philippi (obecnie klinika Valbella), leżącego dokładnie po przeciwnej stronie doliny. Jak to się więc stało, że – inaczej jadąc – dojechali w to samo miejsce? Swój Berghof (taka nazwa nigdy *notabene* w Davos nie występowała) stworzył Mann mianowicie z dwóch autentycznych sanatoriów. Topograficznie był to zakład doktora Philippi, architektonicznie, zarówno jeśli idzie o wygląd zewnętrzny, jak i opis poszczególnych pomieszczeń – Waldsanatorium profesora Jessena, otwarte zresztą w rzeczywistości dopiero w 1911 (rok przed przyjazdem Manna, ale cztery lata po przybyciu tam Castorpa).

Pozostawmy autora *Czarodziejskiej góry* i jej głównego bohatera przy powitalnej kolacji, po której pisarz nie uda się jednak na spoczynek do pokoju numer 34, przygotowanego zawnazasu dla Hansa Castorpa, ale do gościnnego lokum w położonej naprzeciwko willi „Am Stein”. Wspólnota ich losów – albo inaczej mówiąc: autobiograficzny rys powieści Manna – wypełni się jeszcze tylko w pierwszych dniach pobytu w Davos: złe samopoczucie, podwyższona temperatura, badanie lekarskie, diagnoza – wilgotne miejsce w płucach, zalecenie dłuższej kuracji. Te sprawy są znane i nie będącie ich się tu powtarzać. Wiadomo, że reakcja Manna na zalecenie profesora Jessena była inna niż Castorpa. Po zasięgnięciu opinii swego domowego lekarza, który dość brutalnie odpowiedział w liście, że nie słyszał jeszcze o nikim, u kogo podczas badania w Davos nie znaleziono by jakiegoś podejrzanego miejsca w płucach², pisarz w lipcu wrócił do domu. Pozostawmy więc małżeństwo Mannów i młodych kuzynów przy kolacji, w szkicu tym mniej nas bowiem interesuje geneza *Czarodziejskiej góry*, bardziej zaś scena, na której rozgrywała się jej akcja – czarodziejskie Davos.

² Por. Katia Mann, *Moje nie napisane wspomnienia*, do druku przygotowały Elisabeth Plessen i Michael Mann, przeł. Emilia Bielicka, Czytelnik, Warszawa 1976.

Davos leży w zielonej dolinie u stóp Alp Retyckich, długiej na trzy godziny drogi, szerokiej na kwadrans, 5000 stóp (1560 m) nad poziomem morza. Dolina biegnie z północnego wschodu na południowy zachód. Z obu stron wznoszą się góry pod kątem 30–35 stopni, na wysokość od 2000 do 3000 stóp powyżej podstawy. Ściana łańcucha Retykonu, oddzielona wąwozem górnego Prättigau od Davos, tworzy wysoką na 3000 stóp obronę przed wiatrem północno-wschodnim. Dolina zwięża się ku południu, a zamykają ją skaliste zbocza tzw. Zugów o wysokości ponad 1000 stóp. Wyższe góry od strony południowej są zbyt oddalone, żeby pozbawiać Davos słońca. Na północnym krańcu doliny leży jeszcze ciemnoniebieskie jezioro, długie na dwadzieścia minut drogi, szerokie na dziesięć. Mała rzeka Landwasser bystro płynie przez łąki, spływają do niej liczne potoki z leśnych parowów i bocznych hal.

Zbocza gór są porośnięte lasem iglastym aż do wysokości 6000–6500 stóp. Oprócz brzoź i olszyn nie spotyka się zaś drzew liściastych, nie ma więc też przy domach drzew owocowych. W nasłonecznionych miejscach udaje się za to żyto i jęczmień. Od listopada do kwietnia góry i dolinę pokrywa gruba warstwa śniegu³.

Tak opisywał okolicę jeden z pierwszych przewodników dla kuracjuszy z 1877 roku. Ludzie – niemieccy chłopcy – osiedlili się w tym miejscu w trzynastym wieku. Rządy sprawowała najpierw retycka rodzina von Vatz, potem grafowie von Toggenburg, za czasów których zawiązano Bund, czyli samorządny związek okolicznych ziem. W końcu piętnastego wieku tereny wokół Davos nabyła Austria i rozwinęła tu górnictwo rud metali: ołowiu, srebra, żelaza; wydobywano też trochę złota. Współzycie z Austriakami było pełne konfliktów, mieszkańcy postanowili wreszcie pozbyć się niewygodnych właścicieli i w 1639 roku wykupili się z ich rąk za 96 000 guldenów (czyli około 700 000

³ *Die Landschaft Davos. Climatischer Curort für Brustkranke*, Zürich 1877.

franków szwajcarskich z początku dwudziestego wieku, co by wystarczyło wówczas Hansowi Castorpowi na... 70 lat kuracji w Berghofie, płacił tam bowiem – jak pamiętamy – 160 franków tygodniowo, czyli niecałe 10 000 rocznie) i założyli własny Bund, który wszedł później do kantonu Graubünden, a wraz z nim do Konfederacji Szwajcarskiej. Górnictwo z czasem podupadło, w dolinie rozwinęła się za to hodowla bydła, która na długo stała się głównym źródłem utrzymania davosan. Życie w wysokogórskiej wsi na początku dziewiętnastego wieku nie należało do łatwych, wielu mieszkańców wędrowało za chlebem na niziny, a surowy klimat sprawiał, że przez większą część roku miejscowość była właściwie odcięta od świata. Dopiero w połowie zeszłego stulecia zbudowano porządną drogę bitą do Landquart, co spowodowało, że Davos pojawiło się na mapach. W 1853 roku objął praktykę we wsi doktor Alexander Spengler, który uczynił dla Davos to, co Tytus Chałubiński dla Zakopanego (rzecz działa się zresztą niemal w tym samym czasie, a w późniejszym rozwoju obu miejscowości można dostrzec wiele podobieństw) – odkrył je dla świata.

Spengler zauważył dość szybko, że mimo surowych warunków życia panujących w Davos nie występuje tam gruźlica, pustosząca wtedy Europę ze szczególną intensywnością. Co więcej, „reemigranci”, którzy po kilku lub kilkunastu latach przepracowanych „na dole” wracali do domu często zarażeni gruźlicą, po powrocie w rodzinne strony szybko dochodzili do zdrowia. Wielomiesięczny zimowy chłód także im nie szkodził, ale przeciwnie – przynosił poprawę. Doktor ogłosił swoje obserwacje, co sprawiło, że w roku 1865 pojawili się w Davos pierwsi chorzy, szukający tu dla siebie nowej nadziei i zdrowia. Tak zaczął rodzić się najśłynniejszy szwajcarski kurort.

Szybko stanęły pierwsze hotele, pensjonaty, dom kuracyjny, a od 1890 także specjalistyczne sanatoria. Broszura Spenglera *Die Landschaft Davos als Kurort gegen Lungenschwindsucht* przyciągała kolejnych chorych, nie tylko ze

Szwajcarii i z Niemiec, ale również z Anglii, Francji, Holandii, później Belgii, Rosji, Portugalii, wreszcie z całego świata⁴.

Początkowo kilkuset gości rocznie z trudem znosiło spartańskie warunki długiego pobytu w Davos (najkrótsza kuracja trwała wówczas od trzech do sześciu miesięcy). Mieszkańcy szybko jednak dostrzegli dla siebie szansę w nowej sytuacji i wzięli się do roboty (Zakopiańczycy nie byli tacy obrotni); od 1871 zaczęto budować trotuary, w latach 1884–1887 założono wodociąg i kanalizację, w 1885 wprowadzono elektryczność, a od 1893 elektryczne latarnie uliczne! W 1881 do Kurhausu dobudowano salę koncertową, a w dwa lata później na ulice między Davos-Dorf i Davos-Platz wyjechał stały omnibus konny, zastąpiony w 1928 autobusem. W 1870 roku zbudowano pierwsze małe, a po dwudziestu latach wielkie sztuczne lodowisko, w 1899 – kolejkę zębatą na Schatzalp, a w 1907 na tym samym zboczu – tor bobslejowy, wykorzystywany niekonwencjonalnie także nocami, jak opowiadał Joachim Ziemssen, do oszczędnościowego zwożenia na dół ciał nieboszczyków z najwyższej położonego sanatorium. Już od 1905 roku pracowała miejscowa gazownia⁵.

Rozumiano od początku, że nieskażona natura jest największą wartością Davos⁶, zrobiono więc wszystko, by o nią zadbać. Także dzisiaj oddycha się tam inaczej. W naj-

⁴ W stwierdzeniu „z całego świata” nie ma ani odrobiny przesady. Jeśli spojrzeć na listę gości drukowaną, wzorem wielu miejscowości kuracyjnych, w lokalnej gazecie („Davoser Blätter”), to – na przykład 27 stycznia 1921 – znajdziemy tam nazwiska przybyszów z Anglii, Belgii, Czech, Egiptu, Francji, Grecji, Hiszpanii, Holandii, Indii, Iraku, Jugosławii, Majorki, Niemiec, Polski, Rosji, Rumunii, Singapuru, Szkocji, Turcji, Wenezueli, Włoch.

⁵ Por. J. Hauri, *Zur Geschichte der Landschaft und des Kurortes Davos* (w:) *Davos. Ein Handbuch für Aerzte und Laien*, Davos 1905.

⁶ Co znalazło odzwierciedlenie nawet w nazewnictwie administracyjnym. Davos wraz z okolicznymi wioskami tworzy jednostkę terytorialną, chyba jedyną taką w Szwajcarii, „Landschaft Davos”, a nie po prostu „Gemeinde” (gmina).



Widok na Davos z balkonu Waldsanatorium.

słynniejszym powietrzu Europy jest coś ożywczego, czuć niemal, jak wentylują się płuca. Słońce świeci tu też intensywniej, a ciśnienie atmosferyczne nie osiąga wysokich wartości. Średnia roczna temperatura wynosi zaledwie +2,9°C i nawet w najcieplejszym lipcu wieczorami trzeba się ciepłej ubierać. Stężenie wszelkich pyłków, a przede wszystkim roztoczy kurzu, jest minimalne, dzięki czemu Davos mogło się obecnie przekształcić w ośrodek leczenia astmy, bronchitów i alergii.

Kryształowo czyste powietrze! W parku zdrojowym stoi dziś charakterystyczny pomnik. Przedstawia nagiego mężczyznę naturalnej wielkości z szeroko rozpostartymi rękami i napiętymi mięśniami klatki piersiowej, jak przy głębokim wdechu. Taką rzeźbą, autorstwa Philippe'a Modrowa, pt. *Der Atmer* (Ten, który oddycha), a nie konwencjonalnym popiersiem, uczciło miasto już w latach dwudziestych doktora Spenglera, sprawcę kuracyjnej kariery Davos.

Burzliwy rozwój miejscowości ograniczała na szczęście przestrzeń – dolina jest stosunkowo mała, a przede wszystkim wąska. Liczba stałych mieszkańców rosła więc powoli i w ciągu stu lat nie uległa nawet dziesięciokrotnieniu: z 1800 w połowie dziewiętnastego wieku do około 11 000 dzisiaj. Alpejsko-wiejski charakter budownictwa został jednak dość szybko zatracony. Drewnianych, ukwieconych domków ze spadzistymi dachami już dawno tu nie ma. W ich miejsce powstały kilkupiętrowe bogate kamienice, których architektura nie olśniewa pięknnością. Przybywający z każdym rokiem tłumniej goście nie szukali jednak w Davos zabytków kultury ludowej, ale zdrowia. Chociaż i z tym bywało różnie.

– *Więc przyjechała tu pani tylko po to, żeby umrzeć? – zapytał młody Niemiec, wkładając ze wzburzeniem ręce do dolnych kieszeni swojej sportowej kamizelki, i zakaształ z powodu tytoniowego dymu rozchodzącego się wokół... – A po cóż by innego? – rzekła Sybil, która leżała na łóżku pa-*

łąc...⁷ (Ciekawe, że nikt wówczas nie zabraniał chorym na gruźlicę palenia; radca Behrens też kurzył jak smok, a Hans Castorp delectował się bremeńskimi cygarami „Maria Mancini”). Nie jest to, oczywiście, cytata z *Czarodziejskiej góry*, ale z krótkiego opowiadania *Die Krankheit* (Choroba), napisanego w 1916 roku – Thomas Mann znał je więc zapewne, zanim skończył swoje *opus* – przez Klabunda, jednego z wielu pisarzy, którzy przyjeżdżali do Davos na krótsze lub dłuższe leczenie i ślady tego pozostawiali w swojej twórczości.

Pierwszą nowelę, historię miłosną rozgrywającą się na tle życia kuracyjnego w Davos, napisał już w 1875 roku niejaki Franz Gelbke. Nie wymieniają go leksykony literackie, bo nie uwzględniają one wszystkich amatorów, hobbystów i grafomanów. Z nazwisk pierwszej rangi trzeba jednak wymienić przynajmniej Roberta L. Stevensona (spędził w Davos zimę 1881–1882), Arthura Conana Doyle’a (1893–1895) – *notabene* prekursora sportowego narciarstwa zjazdowego, za co ma w Davos obelisk, Christiana Morgensterna (1900–1901, 1912) czy Ericha M. Remarque’a (1927). Najgłośniejszą przed pierwszą wojną „sanatoryjną” powieść napisała w 1893 Angielka Beatrice Harraden: *Ships that pass in the night* (Statki mijające się nocą). W Anglii w ciągu ośmiu lat ukazało się dwadzieścia wydań, tłumaczenie niemieckie z 1895 także było wielokrotnie wznawiane i musiało trafić do monachijskiej biblioteki domowej Thomasa Manna, zbieżność niektórych wątków w obu powieściach nie może być bowiem przypadkowa. Przykładowo: w sanatorium Petershof opisanym przez Beatrice Harraden także był w jadalni stół rosyjski i angielski; jeden z bohaterów, Holender nazwiskiem Vandervelt, odebrał sobie życie w ataku melancholii niczym Myrheer Peepkorn; o innym opowiadało się, że

⁷ Klabund, *Die Krankheit* (w:) *Klabund in Davos. Texte, Bilder, Dokumente*, zusammengestellt von Paul Raabe, Arche, Zürich 1990, s. 41.

troszczył się o cierpiących i pocieszał umierających, podobnie jak przez pewien czas Hans Castorp.

Przytoczony powyżej dialog z opowiadania Klabunda okazał się dla tego autora, niestety, w pewnym sensie proroczy: zmarł w Davos w 1928 roku, mając 38 lat. Nie on jeden.

Szwajcarskie powietrze nie leczyło wszystkich postaci suchot. Niezawodnie pomagało właściwie tylko w lżejszych przypadkach. Śmiertelność wśród kuracjuszy na początku dwudziestego wieku była duża, choć statystyki wykazywały różne liczby – sposób liczenia przynosił tu szczególnie duże różnice. I tak, według danych z sanatorium doktora Turbana z lat 1889–1896, śmiertelność pacjentów wynosiła tylko 3,4% (14 przypadków na 408 gości). Ale też wiadomo było, że ciężko chorych albo w ogóle nie przyjmowano, albo lokowano w prywatnych pensjonatach i nie wykazywano w statystyce. Zdarzało się także, że ich po prostu odsyłano, by mogli spokojnie umrzeć „na dole”, na przykład w jakimś „zdrowym” sosnowym lesie – jak bohater Iwaszkiewiczowskiej *Brzeziny*, Stanisław, któremu dwa lata spędzone w Davos, niestety, nie pomogły.

Jeśli więc policzyć by wszystkie przedwczesne zgony w ciągu dziesięciu lat od rozpoczęcia pierwszej kuracji, to dawały one w sumie aż około 70% śmiertelności⁸. *Letzte Grüße aus Davos* (Ostatnie pozdrowienia z Davos) – pocztówkę z takim nadrukiem⁹ mogli wysłać do znajomych nie tylko bohaterowie Klabunda.

Mann uśmiercił w swej powieści 16 osób (nie licząc krewnych Hansa Castorpa „z nizin”). Co nie było zresztą jedynym powodem, dla którego Davos się na niego po wydaniu *Czarodziejskiej góry* w listopadzie 1924 roku ciężko obraziło. Utwór odczytano bowiem „na górze” jako paszkwil na zasłużoną stację klimatyczną, jako rzecz o Davos. Dyrektor

⁸ Por. Thomas Sprecher, *Davos im „Zauberberg“*. Thomas Manns Roman und sein Schauplatz, Wilhelm Fink Verlag, München 1996, s. 201.

⁹ Autentyczny rysunek satyryczny sprzed I wojny światowej.

tamtejszego – jak byśmy dziś powiedzieli – biura ruchu turystycznego, Jakob Bühner, w sprawozdaniu za rok 1925 uznał wręcz wydanie książki za najcięższy atak na Davos od czasu powstania kurortu i mobilizował do kontrdziałania. Wspominany tu już tajny radca, doktor Turban, nie spoczął, nim nie wytknął autorowi wszystkich „nieścistości” w powieściowym obrazie ówczesnej medycyny. Nazwał *Czarodziejską górę* „mętnym destylatem mętnych czasów”¹⁰ i usilnie namawiał swego kolegę po fachu, doktora Friedricha Jessena, do wytoczenia Mannowi procesu o złośliwe skarykaturyzowanie jego osoby w postaci radcy Behrensa. Jessen miał jednak, zdaje się, więcej poczucia humoru i dystansu, skoro podarował komuś egzemplarz powieści z dedykacją: *Od lepszej, w „Czarodziejskiej górze” nie wspomnianej, połowy radcy Behrensa*¹¹ – co raczej nie potwierdza też plotek, jakoby dzieło Manna stało się powodem opuszczenia Davos przez Jessena w 1927 roku. Nie sprawdziło się też, jak wiadomo, przeświadczenie doktora Turbana, że książka będzie sensacją jednego sezonu i szybko popadnie w zapomnienie. Historia lubi płatać figla – już w kilka lat później opowiadano anegdotę o pewnym Angliku, którego pierwsze pytanie na dworcu po przyjeździe do Davos brzmiało: *Where is the German Sanatorium of Doctor Mann?*¹²

W bibliotekach zakładów leczniczych i na wystawach księgarń w Davos próżno było jednak szukać egzemplarzy powieści. Lekarze i właściciele pensjonatów robili wszystko, by uchronić swych kuracjuszy przed zgubnym wpływem *Czarodziejskiej góry*. Groteskowy ślad tych starań przedstawił w następnej z kolei książce o życiu sanatoryjnym w Davos, napisanym w latach 1937–1940 *Sanatorium „Arktur”*, rosyjski pisarz Konstantin Fiedin:

¹⁰ Por. Dietmar Grieser, *Der desinfizierte Zauberberg*, „Akzente” 1975, z. 4, s. 331.

¹¹ Op. cit., s. 332.

¹² Por. Thomas Sprecher, *Thomas Mann in Zürich*, Verlag Neue Zürcher Zeitung, Zürich 1992, s. 21.

– Nie zna pani? Tu na górze, na czarodziejskiej górze, ta książka jest trzymana w tajemnicy. To książka o nas: o mnie, o pani... Tutaj chciano by w nas wmówić, że taka książka nie istnieje.

– Trudno ją dostać?

– Niech pani spróbuje.

– To szkodliwa książka?

– Dla lekarzy. Ale oni mówią, że dla chorych¹³.

W następnej scenie główna bohaterka prosiła portiera o zamówienie dla niej w księgarni *Czarodziejskiej góry*:

– Nie ma, nie ma! – momentalnie wtrącił się do rozmowy doktor Klebe. – Nie słyszałem o takiej powieści.

– Sądziłam, że pan doktor jest lepiej obeznany z literaturą – powiedziała Inga, unosząc się na łokciach.

– Takiej książki nie ma, nieprawdaż, majorze?¹⁴

O powadze urazy davosan do Thomasa Manna może też świadczyć uchwała rady miejskiej z 1934 roku (a więc już po wyemigrowaniu pisarza z Niemiec), odmawiająca kabaretowi „Pfeffermühle” Eriki Mann, córki Thomasa, zgody na występy w gminie, ponieważ *Davos nie ma nic szczególnego do zawdźwięczenia rodzinie pana Thomasa Manna, którego „Czarodziejska góra” przez swoją tendencyjność zaszkodziła wizerunkowi kurortu w świecie*¹⁵. Obrażeni radni nie policzyli, ilu gości przyjechało do doliny tylko dlatego, że przeczytało powieść i – jak ów anegdotyczny Anglik – chciało zobaczyć osobiście to, co Niemcy dobrze oddają określeniem „Schauplatz der Literatur”. Statystyki są jednoznaczne. 37 000 gości w sezonie 1924/25, 50 000 dziesięć lat później.

Wiedząc o miejscowych nastrojach, Mann wolał się więcej nie pokazywać w Davos. Ostatni raz spędził tam kil-

¹³ Konstanty Fiedin, *Sanatorium „Arktur”*, przeł. Krystyna Bilka, PIW, Warszawa 1960, s. 76.

¹⁴ Op. cit., s. 72–73.

¹⁵ Por. Thomas Sprecher, *Thomas Mann in Zürich*, op. cit., s. 20.

ka dni od 30 stycznia do 3 lutego 1921, trzy lata przed ukończeniem *Czarodziejskiej góry*, kiedy objeżdżał Szwajcarię z serią odczytów. Później bywał jeszcze w niedalekiej Arosie i w St. Moritz, ale Davos na wszelki wypadek omijał, także po otrzymaniu Nagrody Nobla.

Davos zaś pozbyło się wcześniej sanatoriów przeciwgruźliczych i ich pacjentów niż urazy do *Zauberbergu*. Lata czterdzieste i pięćdziesiąte, kiedy medycyna umiała już sobie poradzić z gruźlicą, to okres przekształcania się miejscowości z uzdrowiska w centrum sportowo-turystyczne. Waldsanatorium, czyli Berghof, istniało do 1957, po czym zostało gruntownie przebudowane i zamienione w luksusowy hotel o mało oryginalnej, choć adekwatnej nazwie Bellevue – pozostając *notabene* do dziś w rękach tej samej rodziny. Budynek zatracił, niestety, pierwotny secesyjny styl, frontowa fasada została zaokrąglona i pozbawiona jakichkolwiek ozdób. Wewnątrz, w miejscu dawnej sali operacyjnej i laboratorium urządzono skład bielizny, a tam, gdzie niegdyś myto i dezynfekowano spluwaczki kuracjuszy, mieści się obecnie mała salka restauracyjna, w której podaje się szwajcarską specjalność *fondue*. W zbliżonym do pierwotnego charakterze utrzymano jadalnię i bawialnię na parterze, tam też prowadzi się dzisiaj gości ciekawych „czarodziejskiej” przeszłości hotelu, jednego z najdroższych obecnie w Davos.

Ostateczne „odczarowanie” miejsca nastąpiło 8 marca 1968. Hotel Bellevue odwiedziła wówczas, po przeszło pół wieku od swego pierwszego w nim pobytu, osiemdziesięcioletnia Katja Mann. Miejscowe władze przyjęły sędziwą małżonkę pisarza z całym należnym szacunkiem. Ale z nazwy „Zauberberg” zdjęto tabu dopiero w latach osiemdziesiątych. Widnieje ona na szyldzie pewnej... chińskiej restauracji w centrum miasta, w nowoczesnym, przeszklonym budynku przy Promenadzie. W miejskim kinie pokazuje się w sezonie od czasu do czasu adaptację *Czarodziejskiej góry* (marną zresztą), zrealizowaną w 1981 roku

przez Hansa Wernera Geissendörfera, reklamując ją niewinnie jako „film nakręcony w plenerach Davos”, a zapominając, jak niechętnie przyjęto niegdyś pierwsze plany ekranizacji z 1955 roku¹⁶.

Przed kilku laty Davos wpuściło do swojego centrum kongresowego uczestników międzynarodowego sympozjum naukowego poświęconego nowym interpretacjom *Czarodziejskiej góry*¹⁷. Sukces imprezy sprawił, że postanowiono ją kontynuować. Na drugim z kolei seminarium, zorganizowanym w dniach 12–16 sierpnia 1996, spotkali się wreszcie „przy okrągłym stole” przedstawiciele obu zainteresowanych powieścią dyscyplin: literaturoznawstwa i medycyny. Wydaje się, że tym samym Davos zostało ostatecznie zdezynfekowane.

Jesień 1996

¹⁶ Por. idem, *Davos im „Zauberberg”*, op. cit., s. 35.

¹⁷ Por. *Das „Zauberberg“-Symposium 1994 in Davos*, hrsg. von Thomas Sprecher, Vittorio Klostermann, Frankfurt am Main 1995 (*Thomas-Mann-Studien*, Bd. XI).

Goetheanum

Goethe nigdy nie był w Goetheanum. Jak pewnie w większości miejsc, nad którymi sprawuje dzisiaj patronat. Ale podczas swoich szwajcarskich podróży przejeżdżał przez niedaleką Bazyleę, która od wieków stanowiła wyraźny punkt na mapie Europy i wojażerowi trudno było ją ominąć. Czy autor *Fausta* słyszał coś o położonym dziesięć kilometrów na południe od tego przedzielonego Renem miasta małym Dornach? Zapewne tak, musiał wiedzieć choćby o jednej z decydujących bitew wojny szwabskiej, stoczonej w roku 1499 u podnóża zamku Dorneck, w wyniku której Szwajcarzy pokonali wojska Maksymiliana I i uniezależnili się ostatecznie od Rzeszy; a może – jako przyrodnik – pamiętał też o pochowanym w miejscowym kościele słynnym matematyku francuskim Maupertuis. Nie były to jednak wystarczające powody, by w 1779 roku tam zajeżdżał. Czy nazwę Dornach mógł z czymś kojarzyć urodzony w 1861 w chorwackim (dziś) Kraljevacu syn austriackiego kolejarza, zajmujący się w młodości między innymi wydawaniem przyrodniczych pism Goethego, później zaś znany jako twórca antropozofii i inicjator wyrosłych z niej nowych form życia religijnego, społecznego, pedagogiki, sztuki, medycyny, rolnictwa biodynamicznego, jednym słowem alternatywnego światopoglądu i podstaw alterna-

tywnej kultury zdobywających od początku dwudziestego wieku coraz liczniejsze rzesze zwolenników i wyznawców, czy znał więc to miejsce uprzednio budowniczy Goetheanum, Rudolf Steiner, trudno dziś dociec. Wiadomo, że planował on najpierw wzniesienie swej budowli na rogu Ungerer- i Germania-Strasse w Monachium – mieście, w którym w latach 1910–1913 prezentował wtajemniczonej publiczności własne dramaty misteryjne o znaczących tytułach: *Die Pforte der Einweihung* (Bramy wtajemniczenia), *Die Prüfung der Seele* (Próba duszy), *Der Hüter der Schwelle* (Strażnik progu) i *Der Seelen Erwachen* (Przebudzenie dusz). Projekt monachijski nie doszedł do skutku na skutek oporu tamtejszych władz miejskich. Ale w 1912 roku szczęście uśmiechnęło się i do filozofa, i do małej solurskiej miejscowości, której nazwa miała wkrótce kojarzyć się na świecie przede wszystkim z centrum antropozofii, a nie z historią Szwajcarii. Rudolf Steiner, wygłaszający wtedy serię wykładów w Bazylei, przybył na kilkudniowy wypoczynek do Dornach, zaproszony przez bazylejskiego stomatologa, Emila Grossheintza, mającego tam swój letni dom. Pobyt okazał się bardzo owocny, bo zafascynowany teozofią i rodzącą się antropozofią dentysta ofiarował Steinerowi dużą sąsiednią parcelę, nabytą kiedyś zapobiegliwie, może z myślą o dzieciach lub wnukach, ale teraz chętnie przekazaną na szlachetny cel. Miejsce było piękne, na wzgórzu powyżej miasteczka, z widokiem na malowniczy krajobraz pobliskiej Jury i dolinę przepływającej nieopodal rzeki Birs, pośród drzew owocowych. Topograficznie mogło to wzniesienie przypominać okolice, w której czterdzieści lat wcześniej wybudowano Festspielhaus w Bayreuth, także poza ówczesnymi granicami miasta, także na widocznym zewsząd wzgórzu, na miejscu nazywanym po niemiecku tu i tam *Hügel*. Przede wszystkim zaś tu i tam stanęły oryginalne, dla niektórych może trochę dziwaczne, budowle teatralne.

Kiedy 20 września 1913 położono w Dornach kamień węgielny, nikt jeszcze nie mówił o Goetheanum. Monu-



Pierwsze Goetheanum w Dornach.

mentalnej sali teatralnej przeznaczonej do wystawiania Steinerowskich misteriów patronować miał pierwotnie Johannes Thomasius – główny bohater tych dramatów, artysta-malarz poszukujący nowych impulsów twórczości poprzez wstąpienie na drogę poznania duchowego – i dlatego aż do 1917 roku używano nazwy Johannesbau. Albo, wymiennie, Dom Słowa – dla zaznaczenia, jaki element sztuki scenicznej jest w tym teatrze najważniejszy. Jeszcze jednak zanim zaczęto budowę, pierwotne plany uległy poszerzeniu. Na początku 1913 roku poróżniony z Annie Besant Steiner opuścił Towarzystwo Teozoficzne, w którym pełnił dotychczas funkcję sekretarza generalnego sekcji niemieckiej, i założył własne Towarzystwo Antropozoficzne. Potrzebował dlań nie tylko sali widowiskowej, ale stałej siedziby. Znalazł ją w Dornach. Tam właśnie powstała w 1923 roku i działa do dziś Freie Hochschule für Geisteswissenschaft, Wolna Wszechnica Wiedzy Duchowej.

Symbolika zaprojektowanego przez Rudolfa Steinera Domu Słowa odwoływała się do badań Goethego nad metamorfozą roślin i świata organicznego. Drewniany budynek postawiony na wysokim betonowym fundamencie został pokryty dwiema przylegającymi do siebie kopułami. Mniejsza z nich wznosiła się ponad sceną, większa nad widownią. Symbolizowały zetknięcie się mikro- i makrokosmosu, a także zjednoczenie sztuki, nauki i religii w poszukiwaniu drogi od świata zmysłowego ku duchowemu. Między kopułą nakrywającą świat sceniczny a kopułą rozpostartą ponad światem publiczności, w miejscu granicznym, miała stanąć mównica – bo sala przewidziana była także na odczyty, przede wszystkim samego Steinera, przewodnika duchowego antropozofów. Dekoracyjnym motywom na kolumnach podpierających kopuły również nadano charakter organiczny: odzwierciedlały roślinną metamorfozę, jedne wynikały z drugich. Architekt dopatrzyłby się tu wielu elementów secesyjnych, co ze względu na czas powsta-

wania budowli byłoby zresztą jak najbardziej naturalne. Steinerowskie zdobienia nie miały jednak pełnić tylko funkcji estetycznych, ale w pierwszym rzędzie duchowe, nie miały oddziaływać zmysłowo, lecz przemawiać do duszy: stwarzać warunki do kontemplacji i osiągnięcia wewnętrznej harmonii przebywającego wśród tej ornamentyki człowieka.

Wnętrza kopuł pokryto wielkimi malowidłami: w centrum mniejszej znalazła się najbardziej, zdaniem Steinera, reprezentatywna dla naszej epoki postać Fausta, którego dążenie do samopoznania symbolizowała trzymana przez niego książka ze słowem *Ich* (po polsku „Ja”) na okładce. Po prawej stronie namalowano dziecko z wyciągniętymi rękami, poniżej szkielet ludzki – wyobrażenie sił przyszłości i sił śmierci. Do malowania użyto farb, jak byśmy dziś powiedzieli, ekologicznych, to znaczy pochodzenia roślinnego, chyba po raz pierwszy na taką skalę. Część okołosceniczna pozbawiona była okien, do sali widowiskowej zaś światło dzienne miało wpadać przez osiem potrójnych witraży ze specjalnie oszlifowanego i zabarwionego szkła. Dziewiąte okno, czerwone, zaplanowano od frontu, przed wejściem na widownię.

Wstępne prace postępowały błyskawicznie. Mieszczące w sobie kubaturę 66 000 metrów zewnętrzna konstrukcja ścian i dach powstały w ciągu kilku miesięcy, tak że 1 kwietnia 1914 na szczycie obu kopuł można było zatknąć świerkowe wiechy. Zachowała się fotografia z tej uroczystości¹ z mrowiem stojących i siedzących na kilku poziomach rusztowania ludzi – budowniczych gmachu – na pierwszym planie. Trudno wszystkich policzyć, ale musi ich być kilkuset. Niewielu wśród nich zawodowych cieśli, większość to wolontariusze, steineryści z siedemnastu krajów mających

¹ Reprodukowana w: Hagen Biesantz, Arne Klingborg, *Das Goetheanum. Der Bau-Impuls Rudolf Steiners*, Philosophisch-Anthroposophischer Verlag Goetheanum, Dornach 1978, s. 31.

niebawem stanąć w ogniu pierwszej wojny światowej. W tej wspólnocie artystów pracowali też Polacy, na przykład malarz Tadeusz Rychter, kierujący po nim pracownią szklarską znany krakowski grafik i dekorator teatralny, Franciszek Siedlecki, jego żona Jadwiga, pierwsza polska eurytmistka, oraz Luna Drexler, późniejsza działaczka założonego w latach dwudziestych Polskiego Towarzystwa Antropozoficznego.

Wybuch wojny osłabił jednak tempo prac. Zwłaszcza, że gmach Johannesbau nie był jedynym budynkiem wznoszonym na terenie podarowanym antropozofom przez doktora Grossheintza. Niedługo po zamachu sarajewskim, 14 lipca 1914, ukończono Glashaus, czyli wspomnianą pracownię szklarską. Mały drewniany budynek położony poniżej Domu Słowa, od strony północnej, także przykryto dwiema niedużymi kopułami, nie przylegającymi jednak do siebie bezpośrednio, ale połączonymi płaskim dachem-tarasem może trzymetrowej długości. Dzisiaj nie pracują tu już szlifierze szkła, lecz członkowie sekcji przyrodoznawczej Wolnej Wszechnicy oraz wydawnictwa antropozoficznego. Kilkadziesiąt metrów dalej na wschód, nieco bliżej Goetheanum, stoi następna budowla spośród tych najstarszych, zaprojektowanych (a raczej wymyślonych i wymodelowanych, bo rysunków technicznych oczywiście sam nie robił) jeszcze przez Steinera, wzniesiona również na początku, w 1914 roku. Kto wie, czy nie jest to równocześnie budowla najciekawsza, a przynajmniej najbardziej oryginalna – chociaż niewielka i czysto użytkowa. Jest to... kotłownia, Heizhaus. Z wysokim kominem, który nie szpeci krajobrazu, lecz – przeciwnie – zharmonizowany jest z architekturą całego wzgórze. Komin ów wyrasta z betonowego korpusu o opływowych kształtach, od tyłu jednolitego, a od strony wejścia dwudzielnego, zakończonemu na wysokości pierwszego piętra małymi kopułami i zwężającego się stopniowo ku górze. Po bokach, na kominie znajdują się trzy pary dziwnych narośli, ni to wielkich

rogów, ni to skrzydeł tego przypominającego jakiegoś swobodnego sfinksa monstrem, wypluwającego z siebie – w sezonie grzewczym – kłęby czarnego, może piekielnego dymu. Kotłownia pełni swe funkcje do dziś, ale po zmianie paliwa z węgla na gaz wywiera na obserwatorze już mniejsze wrażenie. Duchowo pojmowany funkcjonalizm – tak Steiner określał proponowany przez siebie kierunek architektoniczny, rozwijany nie tylko w projektach budowli publicznych, ale także w użytkowych budynkach pomocniczych, jak kotłownia albo coś tak zazwyczaj niezauważalnego jak transformator. To drugi ciekawy przykład z antropozoficznego wzgórza w Dornach. Nie zwykły słup, ale odrębny, wysoki budynek, który ustawiono w 1921 u zbiegu biegnącej od zachodniej strony głównego gmachu dzisiejszej Goetheanumstrasse i Oberer Zielweg, naprzeciwko stołówki i kawiarni. Zimne, abstrakcyjne procesy elektryczne mające zachodzić wewnątrz transformatora wymagały – zgodnie ze Steinerowską regułą budowlaną zawartą w haśle: „uzewnętrzniać to, co wewnętrzne” – prostych, surowych kształtów. Żadnych linii krzywych, żadnych kopuł, żadnych organicznych skojarzeń, jak w przypadku powiązanej z ogniem, dymem i parą kotłowni, lecz kąty proste, nisze i wypukłości zaś wyprofilowane geometrycznie.

Prace przy wznoszeniu Goetheanum trwały całą pierwszą wojnę światową. Co nie znaczy, że wysiłek kolonii antropozoficznej w Dornach skupiał się wyłącznie na budowie. W prowizorycznym baraku, pełniącym zasadniczo funkcję stolarni, toczyło się równoległe życie wykładowe i teatralne. Steiner był zwolennikiem żywego słowa i w związku z tym niepohamowanym wykładowcą. Jego dorobek w tej dziedzinie, zebrany już pośmiertnie, liczy ponad dwieście siedemdziesiąt tomów – około sześciu tysięcy wykładów obejmujących niemal wszystkie dziedziny życia. W czasie budowy wykłady, głoszone najczęściej w rozmaitych cyklach tematycznych, odbywały się w stolarni. Wie-



Kotłownia przy Goetheanum w Dornach.

le miejsca poświęcano w nich naturze mowy ludzkiej, sztuce żywego słowa, teatralnym sposobom wyrażania przeżyć duszy, eurytmii, czyli zainicjowanej przez Steinera sztuce przekazywania gestem duchowych treści poezji lub muzyki, Goethemu oraz *Faustowi*. Steiner powziął bowiem postanowienie, że budowany Dom Słowa służyć będzie nie tylko jego własnym misteriom, ale przede wszystkim Wielkiemu Klasykowi. Od 1915 roku zaczęto przygotowywać się do wystawienia arcydramatu Goethego. Próbowano pojedyncze sceny z obu części dramatu, po czym prezentowano je na zamkniętych pokazach poprzedzanych objaśnieniami Steinera. Teatralno-eurytmiczne opracowanie *Fausta* rozwijało się równoległe do postępów na budowie Goetheanum, teraz zwanego już wyłącznie imieniem poety. Dnia 19 stycznia 1919 roku – ciągle jeszcze w stolarni – dano pierwsze publiczne przedstawienie obejmujące *Klasyczną noc Walpurgii*, a w listopadzie drugie, prezentujące scenę w pracowni z pierwszej części utworu. Antropozofowie zaczęli myśleć coraz poważniej o wystawieniu całego *Fausta*. Pomysł był kuszący, bo przecież takiemu wyzwaniu nikt jeszcze wówczas nie sprostał. Wymagało to jednak czasu.

We wrześniu 1920 roku można było wreszcie zainaugurować w Goetheanum dużą scenę i wielką widownię na 900 miejsc, choć cała budowla nie została jeszcze ukończona. I nigdy nie miała być.

Glashaus, kotłownię i transformator można oglądać do dzisiaj na terenie Wolnej Wszechnicy Wiedzy Duchowej w niezmiennym kształcie. Podobnie jak inne budynki – wszystkie w łatwo rozpoznawalnym, zbliżonym do ekspresjonizmu stylu steinerowskim – wznoszone sukcesywnie w następnych latach na wzgórzu: dom Duldecka (1915) przeznaczony dla darczyńcy Grossheintza, obecnie częściowo zamieniony w księgarnię, dom malarki Luisy van Blommestein (1919), trzy śliczne domki eurytmistek,

tw. Eurythmiehäuser (1920), zaprojektowane przez Edith Maryon w bezpośredniej współpracy ze Steinerem, dom z atelier upamiętniającym rzeźbiarza Jaquesa de Jagera (1921), Eurythmeum, czyli salę ćwiczeń eurytmicznych (1924), dawny dom wydawniczy z magazynem książek, dzisiaj małe audytorium dla studentów Wszechnicy (1924), dom małżeństwa muzyków Schuurman, będący aktualnie siedzibą Steinerowskiej Szkoły Żywego Słowa (1924) – i jeszcze kilka mniej znaczących, mniej okazałych i mniej charakterystycznych architektonicznie obiektów. Nie da się tylko obejrzeć i zwiedzić największego gmachu, wznoszonego przez lata z mozołem przez międzynarodową wspólnotę artystów Domu Słowa, czyli Johannesbau, czyli Goetheanum. Pierwszego Goetheanum, rzecz jasna. W noc sylwestrową 1922/23 drewniany budynek spłonął doszczętnie, na skutek podpalenia, o którym trudno jednak powiedzieć cokolwiek bliższego, bo antropozoficzne źródła traktują ten temat zadziwiająco powściągliwie. Pozostały betonowe fundamenty, fotografie, szkice, opisy. Pozostała ogromna, dziewięciometrowej wysokości rzeźba w drewnie, którą Steiner przygotowywał do swojej „świątyni” już od kilku lat, rzeźba przedstawiająca Chrystusa – jako reprezentanta ludzkości – w walce z Lucyferem i Arymanem. W 1922 roku jeszcze nie ukończona, znajdowała się w pobliskiej stolarni i dzięki temu ocalała przed pożarem. Przeznaczone sobie godne miejsce w Goethanum jednak po kilku latach znalazła. W drugim Goetheanum.

Myśl o odbudowie powziął Steiner właściwie zaraz po tragicznej nocy sylwestrowej, od razu postanowił też, że będzie to zupełnie nowy gmach, a nie powtórzenie starego projektu. Na materiał wybrał beton i stal – ale nie w formie zimnej konstrukcji, lecz także ożywiony impulsem duchowym. Miał to być „mówiący beton” – taki właśnie tytuł nosi późniejsza monografia steinerowskiej architektury napi-

sana przez Rexa Raaba: *Sprechender Beton*². Pierwszy model gotowy był w marcu 1924 i jeszcze w tym samym roku rozpoczęto budowę. Nowe Goetheanum stanęło w tym samym miejscu, ale w innym – dużo bardziej monumentalnym – kształcie. Na osi wschód–zachód, na planie zbliżonym do pięciokąta, bez poprzedniej dwudzielności bryły, sześć kondygnacji pod jednolitym, choć pełnym załamań dachem, z nieregularnie rozrzuconymi na wszystkich ścianach różnego kształtu i różnej wielkości oknami, z czterema wejściami ze wszystkich stron świata. 92 metry długości, prawie tyle samo szerokości, ponad 37 metrów wysokości. W środku dwie wielkie sale widowiskowe, na 1000 i 500 miejsc, a ponadto pracownie, biura, sale konferencyjne i wystawowe, biblioteka, kawiarnia i wiele innych pomieszczeń użytkowych. Góruje nad całą okolicą niby twierdza lub katedra – tyle że bez wież i krzyży – i mimo ostrych, ekspresjonistycznych kształtów zadziwiająco przystaje do otoczenia. Nagi beton – jak wapienne skały pobliskiej Jury, widoczne gdziekolwiek dokoła.

Uroczyste otwarcie drugiego Goetheanum nastąpiło 29 września 1928, w ważny dla antropozofów dzień świętego Michała. Rudolf Steiner nie zobaczył już jednak dzieła, które chciał wznieść, jak mawiał, zarówno dla przyjaciół, jak i dla wrogów antropozofii. Nie doczekał nawet zatknięcia wiechy na pełnym załamań dachu. Zmarł 30 marca 1925. Nikomu na szczęście nie przyszło do głowy, by przemianować gotową budowlę na Steinerianum.

Na inaugurację ciągle jeszcze nie udało się wystawić całego *Fausta*. Duża sala znajdowała się dopiero w stanie surowym, wykańczano ją stopniowo przez wiele lat. A i opracowanie sceniczne dramatu, nad którym łamali sobie gło-

² Zob. Rex Raab, Arne Klingborg, Åkne Fant, *Sprechender Beton. Wie Rudolf Steiner den Stahlbeton verwendete*. Philosophisch-Anthroposophischer Verlag Goetheanum, Dornach 1972.

wy wytrawniejsi od antropozofów znawcy teatru, trwało dłużej niż się pierwotnie spodziewano. Kilka fragmentów pokazano na głównej scenie z okazji stulecia śmierci Goethego, z całością zaś sprawującej pieczę nad przygotowaniami Marii Steiner-von Sievers i jej współpracownikom udało się zdążyć dopiero na rok 1938. Druga żona Doktora nie była całkowitą amatorką w dziedzinie sztuki scenicznej, choć miała tu więcej doświadczeń teoretycznych niż praktycznych. Urodzona w 1867 we Włocławku, dzieciństwo i młodość spędziła w Petersburgu, gdzie brała lekcje recytacji, a na scenie oglądała największych aktorów końca dziewiętnastego wieku: Eleonorę Duse, Ernesto Rossiego, Tommaso Salvinię. Później w paryskim konserwatorium słuchała wybitnych artystów Comédie Française. Na widowni tego właśnie teatru, a także w Meiningen, Dreźnie, Weimarze i w wiedeńskim Burgtheater kształciła swój gust sceniczny. Gust, który do końca życia pozostał dziewiętnastowieczny. Zgorszona panoszącym się na przełomie wieków „bezstylowym naturalizmem” Ibsenów i Wedekindów, zapragnęła przywrócić teatrowi styl. Dzięki antropozoficznym impulsom Steinera, dzięki odnowieniu pracy nad poetyckim słowem, dzięki eurytmii. Poprzez *Fausta*. Czyż zresztą można było znaleźć do tego lepsze dzieło?³

Z energią, wytrwałością i przekonaniem o słuszności wybranej drogi – choć posuwając się całkowicie wbrew kierunkom rozwojowym Wielkiej Reformy Teatru i wszelkich awangard artystycznych naszego stulecia – Marie Steiner-von Sievers doprowadziła wreszcie w 1938 roku do wystawienia w Goetheanum obu części *Fausta* w nieskróconej wersji, dzięki czemu weszła do historii sztuki scenicznej, bo jako pierwsza na świecie zmierzyła się z całością arcydra-

³ Dziejom inscenizacji *Fausta* w Goetheanum poświęcona jest bogato ilustrowana monografia *Faust am Goetheanum. Mit Beiträgen von Hagen Biesantz, Wolfgang Greiner, Michael Blume, Walther Roggenkamp, Urachhaus*. Stuttgart 1982. O teatralnej ideologii Steinera pisałem obszerniej w artykule pt. *Steiner: jak przywrócić teatrowi styl?*, „Dialog” 1991, nr 11.

matu. I choć wiele podręczników oraz leksykonów teatralnych ignoruje to pierwszeństwo, traktując całą rzecz jako amatorski zryw, faktom zaprzeczyć się nie da. Dwudziestoczterogodzinna prapremiera rozłożono na cały tydzień, dając w ten sposób początek organizowanemu do dziś w Dornach Festiwalowi *Fausta*. Powstało dzieło, które można obdarzyć mianem goethowsko-steinerowskiego Gesamtkunstwerk, gdzie istotę dźwięku oddawać miała sztuka żywego słowa, układu przestrzennego – kolor i światło, a wyrazistość ruchu – eurytmia. Stu pięćdziesięciu wykonawców i współpracowników, ponad osiemset pięćdziesiąt kostiumów, setki metrów malowanych płócien dekoracyjnych; wszystko to na scenie, która liczy dużo więcej niż „dwadzieścia kroków w szerz i wzdłuż”. Z namaszczeniem wypowiedane kwestie, hieratyczne ruchy, nadwyrazista charakteryzacja i mimika aktorów; niezwykle oświetlenie zalewające bądź to całą scenę, bądź koncentrujące się na wybranych postaciach. Plus niezachwiana wiara wykonawców w Goethowskie – oraz własne – posłannictwo. Oto antropozoficzny teatr monumentalny. Często wyśmiewany przez augurów (*Nie ma nic bardziej komicznego niż oglądanie antropozoficznych misteriów, jeśli nie jest się wtajemniczonym* – ocenił kiedyś Friedrich Dürrenmatt⁴; *Od kiedy jestem w Bernie, nigdy tak się nie śmiałem, jak tego wieczoru* – sekundował mu Jerzy Stempowski⁵), lekceważony przez prasę fachową, przyciąga wiele tysięcy widzów rocznie. Także wybitnych artystów, spośród których niejeden znalazł w Goetheanum cenne źródło inspiracji. Wewnątrz – na scenie, jak również na zewnątrz – w samym gmachu. Oprócz publiczności *Fausta*, Steinerowskich misteriów i innych klasycznych dzieł dramatycznych, oprócz uczestni-

⁴ Cyt. wg: Peter Brügge, *«Der Weltenplan vollzieht sich unerbittlich»*, „Der Spiegel” 1984, nr 17, s. 77.

⁵ W liście do redakcji „Pamiętnika Teatralnego” z dnia 11 grudnia 1957. Cyt. wg: Andrzej Wysiński, *Nieznane epizody z dziejów „Nie-Boskiej komedii”*, „Pamiętnik Teatralny” 1959, z. 1-2-3.

ków dziesiątków sympozjów, konferencji naukowych i warsztatów twórczych organizowanych rokrocznie w Dornach, oprócz słuchaczy różnych wydziałów Wolnej Wszechnicy Wiedzy Duchowej, dwadzieścia tysięcy ludzi przyjeżdża tu co roku tylko po to, żeby zwiedzić niezwykłą budowlę; codziennie o drugiej po południu na zainteresowanych czeka przewodnik, który oprowadza po wielkich salach i zakamarkach Goetheanum.

W Bazylei trzeba na Aeschenplatz wsiąść w dziesiątkę, zająć miejsce przy oknie, a potem rozkoszować się niespieszną podróżą. Tak jest dużo przyjemniej niż samochodem, ale można również, rzecz jasna, skorzystać z autostrady – wyjazd z miasta w kierunku na Delémont. Linia tramwajowa do Dornach istniała już za czasów Steinera, choć ówczesne wagony poruszały się dużo wolniej. Dzisiaj droga do Dornach przez Münchenstein i Arlesheim (tu mieszkali w okresie pierwszej wojny światowej wspomniani wyżej polscy współbudowniczo wie Goetheanum, Franciszek i Wiga Siedleccy) zajmuje dwadzieścia trzy minuty. Z końcowego przystanku, opatrzonego szyldem Dornach Bahnhof, bo znajdującego się nieopodal stacji kolejowej, nie widać jednak od razu antropozoficznego wzgórza. Ciąsna zabudowa centrum miasteczka i drzewa ograniczają widoczność. Przechodnie poradzą przy dworcu, by poczekać na niezbyt często kursujący lokalny autobus linii 66, dojeżdżający na miejsce, ale lepiej pójść pieszo, bo to wcale nie tak daleko, tyle że pod górę. Chociaż wariant autobusowy ma też swoje zalety. Jedzie się co prawda naokoło, objeżdżając po drodze niemal całe Dornach, ale można za to najpierw popatrzeć na Goetheanum z daleka. Wysiada się zaś wtedy koło opisywanego tu już transformatora. I od razu wiadomo, gdzie jesteście.

Goetheanum robi wrażenie. Gdyby Steiner zbudował je w Monachium, wszystko jedno, czy w pierwotnym, czy w obecnym kształcie, byłoby jeszcze jednym miejskim gma-



Drugie Goetheanum w Dornach.

chem, budzącym może ciekawość, ale ileż interesujących budynków stoi w miastach pokroju Monachium! Tutaj, w Dornach jest jedyne. Tu demonstruje w pełni swoją okazałość i oryginalność. Tu każe zadrzeć głowę do góry – z podziwem niezależnym od tego, czy stojący przed wejściem jest zwolennikiem, czy przeciwnikiem antropozofii. Dokładnie tak, jak chciał Rudolf Steiner.

Steinerowskie wpływy architektoniczne można dziś znaleźć w licznych budynkach na całym świecie, w projektach wielu uznanych architektów z Le Corbusierem na czele, który odwiedził Dornach już w 1927 roku. Estetyka zainicjowana przez twórcę antropozofii jest łatwo rozpoznawalna, niczym na przykład – pomijając oczywiście całkowite przeciwieństwo formalne i ideowe – w projektach Austriaka Friedricha Hundertwassera. Wpływy te widoczne są zwłaszcza w budynkach, będących siedzibą rozmaitych instytucji antropozoficznych, których liczba jest dziś na świecie niemała: głównie szkół i przedszkoli steinerowskich (waldorfskich), klinik antropozoficznych oraz oddziałów Towarzystwa Antropozoficznego, działającego w trzydziestu czterech krajach i skupiającego ponad pięćdziesiąt tysięcy aktywnych członków. Ale nie tylko antropozofowie budują na steinerowską modłę, nadając betonowi niebiańskie formy, załamując w specyficzny sposób dachy, wprawiając w ściany niestandardowe okna w ramach o kątach rozwartych lub ostrych, rzadko prostych. I nie tylko architektura budynków publicznych oraz prywatnych domów mieszkalnych dostarcza przykładów steinerowskich wpływów. Uważne oko dostrzeże inspiracje tej estetyki także tam, gdzie można by się tego najmniej spodziewać, na przykład w zewnętrznym kształcie i w wystroju niemieckich pociągów nowej generacji, ICE (Inter-City-Express). Dornach pozostało jednak jedynym miejscem, gdzie kilkanaście obiektów tworzy wyróżniającą się kompozycję przestrzenną, całościowy zespół architektoniczny – powstały

wprawdzie w różnym czasie i według planów różnych projektantów, ale zdeterminowany przez górujące ponad wszystkim Goetheanum.

Potrzeba kilku godzin, żeby obejść wzgórze, zwiedzić samą „świątynię”, obejrzeć aktualną wystawę, a potem wstąpić do kawiarni na kawę zbożową albo miseczkę doskonałego müssli. Można też jeszcze zajść do sekretariatu po informacje o wszystkich przedstawieniach, koncertach, odczytach, stażach, sympozjach i warsztatach, jakie odbywają się w Wolnej Wszechnicy Wiedzy Duchowej. Można wreszcie, jeśli trafi się na odpowiedni termin, obejrzeć zmienioną w 1999 roku (dopiero po raz czwarty w ciągu prawie sześćdziesięciu lat, jakie upłynęły od śmierci Marii Steiner) inscenizację *Fausta* lub inny spektakl na dużej scenie, niedawno gruntownie przebudowanej. Na koniec zaś najlepiej usiąść na chwilę pod wielką gruszą koło stolarni, pod którą zbierali się kiedyś budowniczo wie pierwszego Goetheanum. To wiekowe drzewo jest najstarszym, jedynym już dzisiaj żyjącym świadkiem powstawania steinerowskiej Wszechnicy na zielonym wzgórzu powyżej Dornach. Szumiąco swymi liśćmi już w roku 1913, kiedy podjeżdżały tu firy załadowane drewnem na konstrukcję Johannesbau, szumiąco, kiedy Steiner snuł pod nim plany i wizje alternatywnej kultury, szumiąco, kiedy aktorzy-amatorzy zbierali się wokół niego na dyskusje o próbowanych właśnie pierwszych scenach z *Fausta*. Dzisiaj warto więc przysiąść na otaczającej pień ławce i w cieniu rozłożystych konarów zastanowić się, czy ruszać zaraz z powrotem, czy dołączyć do szeregów tych, którzy znaleźli tutaj – niekoniecznie wstępując na drogę antropozoficznego poznania – jakiś energetyczny impuls do dalszego kształtowania własnego życia.

Kiedy wstałem z ławki pod gruszą i skierowałem się w stronę przystanku przy transformatorze, autobus linii 66 właśnie odjeżdżał. Zaczynało się ściemniać, dzień o tej po-

rze roku nie był jeszcze zbyt długi. Postanowiłem zejść pie-
szo do pętli tramwajowej, by wrócić do Bazylei. Nie za-
uważyłem, że coraz ciemniej robi się nie tylko ze względu
na zapadający zmierzch, ale także z powodu nadciągają-
cych nad Dornach gęstych chmur. Padać zaczęło, kiedy
jedną trzecią drogi miałem już za sobą. Schodziłem biegną-
cą stromo w dół Herzentälstrasse, zabudowaną wyłącznie
domkami jednorodzinnymi. Kiedy po chwili rozpętała się
burza, nie było się zupełnie gdzie schronić. Lało tak, że na-
tychmiast całkowicie przemokłem. Jeszcze zanim dobie-
głem do przejścia przez tory kolejowe, w butach już chlu-
potało, spodnie lepiły się do nóg, a na plecach, mimo kurt-
ki, czułem mokry, coraz bardziej zimny kompres. Gdy
wreszcie dopadłem przystanku tramwajowego, nad Goe-
theanum były pioruny. Domyślałem się tego raczej niż wi-
działem, ale było oczywiste, że wyładowania koncentrują
się właśnie tam. Goetheański transformator musi skądś
przecież czerpać energię.

Grudzień 1999 / styczeń 2000

Teatr na Szwabskiej Alpie

1.

W polskich atlasach i encyklopediach figuruje nazwa Jura Szwabska. W Niemczech nie mówi się o Jurze, ale o Schwäbische Alb, chociaż góry położone w południowo-wschodniej części Badenii-Wirtembergii powstały zasadniczo rzeczywiście w okresie jurajskim. W naszym domowym języku, od kiedy zamieszkaliśmy w pobliżu, zrobiliśmy z tego Szwabską Alpę. Nie bez odrobiny racji, jak się okazało, bo i taka forma – Schwäbische Alp – występowała niegdyś obocznie. Jedna i druga, przez -b i przez -p na końcu, w niektórych źródłach uważana jest za liczbę pojedynczą od Alpen (Alpy), w innych utożsamiana jest po prostu z pojęciem góry lub górskiej hali. Szwabska Alpa jest dość rozległym pasmem, ciągnącym się od zachodnich krańców Jeziora Bodeńskiego w kierunku północno-wschodnim, między górnym Dunajem a Neckarem i dalej aż poza Ulm, na długości prawie 200 kilometrów, ale pod względem turystycznym pozostaje w cieniu pobliskiego – i wyższego – Szwarcwaldu. To domowe góry Szwabów i głównie oni tu z zapałem wędrują, wspinając się (co zresztą nie bywa trudne) na szczyty mające od ośmiuset do tysiąca paru metrów wysokości i podziwiając z nich fanta-

styczne często widoki. Naprawdę fantastyczne: dość powiedzieć, że właśnie na najwyższej górze Szwabskiej Alpy, na Lembergu, przeżyłem jedno z największych olśnień widokowych w życiu. Kryształowo przezroczyste tego dnia¹ powietrze pozwoliło sięgnąć wzrokiem na odległość powyżej dwustu kilometrów i na linii horyzontu biegnącej ze wschodu na południe, od Bawarii po środkową Szwajcarię, dojrzeć nieskończoną liczbę ośnieżonych alpejskich wierzchołków, przełęczy, dolin, załamań i wzniesień, od strony zachodniej zaś falujące, łagodne oraz niskie w porównaniu z Alpami grzbiety Szwarzwaldy i francuskich Wogezów. Obraz tym bardziej niezwykły, że zupełnie nieoczekiwany. Mało kto zdaje sobie zresztą sprawę z niespodzianek, jakie mogą sprawić te szwabskie góry. Niemcy z innych rejonów kraju, jeśli już wybierają się na Alpe, to raczej z wycieczkami historycznymi – aby odwiedzić rodzinne strony (tudzież zamki) dwóch najpotężniejszych niemieckich rodów, siedziby książąt, królów i cesarzy: Hohenstaufenów koło Göppingen oraz Hohenzollernów w pobliżu Hechingen.

Göppingen, Hechingen, Melchingen, Reutlingen, Tübingen, Wellendingen – i jeszcze wiele dziesiątek innych miejscowości o nazwach zakończonych na **-ingen**... Tutejsza jednolita onomastyka robi wrażenie na każdym przyjeźdźnym. A jest to po prostu alemański ślad dawnej przynależności tych ziem: temat odsyła do imienia najstarszego rodu albo założyciela wsi. Alemanowie nie byli zresztą pierwszymi osadnikami na Alpie. Przyszli – jeżeli można się tak wyrazić w wielkim historycznym skrócie – dopiero po Celtach i po Rzymianach, w połowie III wieku, sami zaś zostali potem podbici przez Franków (ci pozostawili po sobie nazwy miejscowe na **-heim** i **-hofen**), ale to właśnie z alemańskiego pnia i terytorium wyrosło w X wieku Księstwo Szwabskie. Dziś mówi się w związku z tym o kulturze szwabsko-alemańskiej, obejmującej swymi granicami niemieckojęzyczną

¹ Pamiętam dokładną datę: było to 11 stycznia 1998.

część Szwajcarii, Alzację, Badenię i Wirtembergię. Warto dodać, że chyba najpiękniejsze świadectwo alemańskiej przynależności kulturowej i terytorialnej złożył urodzony w szwarcwaldzkim miasteczku Calw Hermann Hesse w napisanym w 1919 roku szkicu pod tytułem *Alemannisches Bekenntnis* (Alemańskie wyznanie wiary)².

Kolejnych osadników na Szwabskiej Alpie nie zniechęcały dość trudne warunki naturalne, słabe gleby, surowy klimat i kłopoty z wodą. Wiadomo, że tam, gdzie ładne krajobrazy, chłopskie życie bywa na ogół najcięższe. Ale też chłop nie zwraca zwykle uwagi na widoki i raczej walczy z naturą niż się nią zachwyca. Również na Alpie gospodarka była przez wieki niełatwa. Szwabska oszczędność, porównywalna ze szkocką i będąca przedmiotem dowcipów w całym Niemczech, ma źródła właśnie w dawnej biedzie. Dopiero od niedawna, od czasu, kiedy przemysł i usługi w rozwijających się miastach dały pracę mieszkańcom gór, żyje się tu bez większych trosk materialnych.

Także pod względem politycznym tutejsze okolice przedstawiały przez wieki wyjątkowo ciekawy konglomerat. Co krok wypadały jakieś granice: włości szlacheckich, kościelnych, książęcych, wolnych miast itp. Pewien student wędrujący w 1790 roku z Tybingi do Ulm musiał przekroczyć na odcinku 86 kilometrów 9 granic politycznych! Do dzisiaj gdzieś tam widać tego ślady: obyczajowe i religijne.

O odrębności kulturowej całego regionu świadczy jednak najbardziej język i... karnawał. Na Szwabskiej Alpie i wokół niej mówi się, śpiewa oraz recytuje – bo tutejsi ludzie są muzykalni i liryczni – po szwabsku. Często nawet w teatrze, czasami nawet na uniwersytecie. Jeśli nie zna się szwabskiego (a myli się ten, kto sądzi, że to tylko lokalna odmiana niemieckiego), jest się i pozostanie się na zawsze

² Zob. Hermann Hesse, *Alemannisches Bekenntnis* (w:) *Bodensee. Betrachtungen, Erzählungen, Gedichte*, herausgegeben und eingeleitet von Volker Michels, 4. erweiterte Auflage, Jan Thorbecke Verlag, Sigmaringen 1986.

obcym. Podobnie z karnawalem, który, dzięki swemu powszechnemu charakterowi, u schyłku zimy stanowi znak rozpoznawczy tych ziem. Ale jakże niezwykły to karnawał, odbiegający daleko swym kształtem od potocznych wyobrażeń i odmian występujących w innych częściach Niemiec, choćby w Nadrenii. Od Tłustego Czwartku do Ostatków Szwabia jest wywrócona do góry nogami. Na ulice i place wylegają czarownice, diabły, dzikie stwory, gnomy, figury zwierzęce i fantastyczne w rzeźbionych misternie maskach, kolorowych kostiumach, z muzyką. Pochody, tańce oraz inne formy błazeństw oparte są – bez wyjątku – na lokalnych obyczajach i obrzędach, w których niewiele miejsca pozostaje na typową dla karnawału improwizację. Karnawał szwabsko-alemański jest świętem ludowym, odwołującym się do tradycji i historii; przestrzegając pilnie dawnych reguł, uchronił się w dwudziestym wieku przed komercjalizacją i wciągnięciem w obręb kultury masowej. Stał się zaś, przez swą odrębność, wyróżnikiem tożsamości i świadectwem przynależności kulturowej mieszkańców.

2.

Kiedy podjeżdża się krętą szosą przez las do góry, wydaje się, że to zwykła przełęcz. Ale po osiągnięciu kulminacji droga nie opada znowu w dół, lecz biegnie prosto po dość rozległym terenie otoczonym łagodnymi wzniesieniami, mającymi po osiemset-dziewięćset metrów wysokości. Jesteśmy jakby na pierwszym piętrze Alpy, gdzie ulokowało się kilka niewielkich wsi „-ingen”. Wśród nich Melchingen. Wieś, w której znalazł siedzibę Theater Lindenhof – jedyny w Niemczech teatr regionalny. Są tu bowiem teatry państwowe (Staatstheater), krajowe (Landestheater), miejskie (Stadtheater), prywatne i wolne grupy, dotowane okazjonalnie przez różnych sponsorów, ale pojęcie „teatr regio-

nalny” wymyślono wyłącznie dla zespołu z Melchingen, nie od razu zresztą, bo najpierw aktorzy musieli przeżyć ciężki okres pionierski i – jak przy wszystkich tego rodzaju niekonwencjonalnych przedsięwzięciach – przekonać ewentualnych mecenasów oraz, przede wszystkim, widzów o swojej wartości. Trzeba było czasu, ponad dziesięciu lat, w ciągu których pierwotnemu amatorskiemu szkolnemu teatrowi z Reutlingen, działającemu później w sąsiedniej Tybindze, udało się przekształcić w prawdziwą wspólnotę teatralną, kupić (na kredyt) starą gospodę w Melchingen, dać kilkanaście oryginalnych premier, zdobyć uznanie publiczności (niektóre przedstawienia grane po kilkaset razy!), okolicznych intelektualistów (przydało się uniwersyteckie zaplecze Tybingi), prasy oraz wiele nagród, urządzić z czasem w stodole obok gospody prawdziwą scenę z widownią na dwieście miejsc, przełamać nieufność i zyskać poparcie mieszkańców „własnej” wsi, by wreszcie stanąć na nogi, dopracować się zabezpieczenia materialnego i specjalnego statusu. Zaczynano ze śmiesznym jak na tutejsze warunki funduszem 2300 marek, pochodzącym z gminnej dotacji, by dzisiaj rozporządzać budżetem w wysokości 450 tysięcy, gwarantowanym przez rząd Badenii-Wirtembergii oraz przez kilkanaście okolicznych gmin i miast, którym teatr rewanżuje się za subwencje gościnnymi występami. W ciągu pierwszych kilkunastu lat nie brakowało w Melchingen dramatycznych momentów, kiedy grupa była bliska rozpadu, a niespłacona gospoda bliska licytacji. Wtedy pozostawał upór założycieli i szefów teatru, Uwe Zellmera i Bernharda Hurma, którym do tej pory udawało się przetrwać wszystkie kryzysy.

Siłą Theater Lindenhof była od początku jego, żeby tak powiedzieć, lokalność. Wyrażało się to przede wszystkim w repertuarze, konstruowanym z regionalnego materiału historycznego, literackiego i społecznego, ale też w wyraźnym adresie: aktorzy Melchingen chcieli rozmawiać o szwabskich problemach ze szwabską publicznością – w dodatku, przy-

najmniej częściowo, po szwabsku. Nigdy nie miał to być jednak teatr ludowy czy chłopski. Na pierwszym planie stał bowiem zawsze kunszt teatralny: swoistość i nowoczesność użytych środków scenicznych, doskonały warsztat aktorski, oryginalność tekstów. Większość sztuk granych w Melchingen (i w okolicy, bo grupa wykorzystywała przestrzenie naturalne wielu innych pobliskich miejsc) powstała jako własne scenariusze odnoszące się – w różnym zakresie – do lokalnych tradycji, zdarzeń i osób. Jeśli wśród tych ostatnich pojawia się na przykład mieszkający niedaleko przez pół życia Hölderlin, bohater dwóch spektakli granych w autentycznych plenerach Tybingi, to widać, jakiego rzędu może to być lokalność.

3.

Szwabska Alpa jest nie tylko miejscem funkcjonowania czy, jakby powiedział jeden z bliskich mi polskich twórców teatralnych, środowiskiem naturalnym Teatru Lindenhof. W roku 1997 stała się po prostu sceną i zarazem dekoracją jednej z premier, o której – z różnych powodów – chcę tu opowiedzieć. W warstwie fabularnej przedstawienie to połączyło opowieść o Franzu Schubercie (wiedeńczyku więc, a nie Szwabie) z rodzajem relacji o gorzkich przeżyciach uciekinierów przybyłych w szwabskie strony z różnych regionów zmieniających granice po drugiej wojnie światowej dawnych Niemiec. Głównym tematem nie były jednak żadne jednostkowe ani też zbiorowe losy, ale rozmaite sposoby doświadczania obcości oraz bezdomności – w różnych światach i w różnych czasach, lecz w sumie podobne i na swój sposób uniwersalne. Bo wszyscy jesteśmy przecież obcy – prawie wszędzie. Chyba że nigdy nie ruszamy się z domu. *Fremd bin ich eingezogen, fremd zieh ich wieder aus...* („Przybyłem jako obcy, odchodzę obcy wciąż...”) – ten dwuwiersz otwierający cykl *Winterreise* Wilhelma Müllera,

do którego znaną muzykę skomponował w 1827 roku, na krótko przed śmiercią, Franz Schubert, jest motywem przewodnim, powtarzanym, śpiewanym i granym po wielokroć w trakcie przedstawienia noszącego tytuł *Melchinger Winterreise* (Podróż zimowa w Melchingen)³.

Twórcą tekstu, będącego podstawą spektaklu, ale przetwarzanego przez aktorów ciągle od nowa i częściowo improwizowanego w trakcie gry, jest zaprzyjaźniony z teatrem, pomieszkujący także w Tybindze pisarz Peter Härtling, znany między innymi jako autor fabularyzowanych biografii Hölderlina i Schuberta oraz autobiograficznych powieści z czasów tuż powojennych. Autobiograficzny charakter ma też wiele obrazów *Melchinger Winterreise*. Härtling (ur. 1933) doświadczył bowiem sam w dzieciństwie losu uciekiniera: przed zbliżającą się w 1945 roku Armią Czerwoną. Trasa ucieczki – w towarzystwie matki, siostry, babki i ciotki – prowadziła z Moraw przez Dolną Austrię, Wiedeń na Zachód aż do szwabskiej krainy „-ingen”. Ojciec zmarł w tym czasie w obozie jenieckim, matka popełniła wkrótce samobójstwo, nie mogąc sobie poradzić z nowym, obcym światem. Wychowywany przez babkę kilkunastoletni chłopak znalazł mentora w prześladowanym przez nazistów, bo jeszcze przed wojną komunizującym, szwabskim malarzu Franzu Ruoffie. To on namówił wyrzuconego w 1951 roku z gimnazjum Härtlinga, kiedy ten przeczytał już całą jego bibliotekę, do wyrwania się z prowincjonalnego, ciągle obcego świata „-ingen” i do wyruszenia po nową wiedzę życiową gdzie indziej. Zabieg to, jak wiadomo, w młodzięcym wieku konieczny – choćby tylko po to, żeby potem powrócić. *Fremd bin ich eingezogen, fremd zieh ich wieder aus...*

Właśnie na jakimś koncercie w Nürtingen nad Neckarem, mieście dzieciństwa Hölderlina, późniejszy pisarz usły-

³ *Melchinger Winterreise*, tekst: Peter Härtling, reżyseria: Christoph Biermeier, scenografia: Ilona Lenk, opracowanie muzyczne: Susanne Hinkelbein. Prapremiera 13 grudnia 1997 w Theater Lindenhof.

szał w 1948 roku po raz pierwszy te słowa Szubertowskiej pieśni. Zapadły mu głęboko w pamięć, bo dotyczyły także jego. Jak wielu ludzi dwudziestego, ale także i poprzedniego stulecia, którzy gdzieś-kiedyś poznali smak wędrówki i obcości. Jak Franza Schuberta, który wprawdzie rzadko opuszczał Wiedeń, ale za to w ciągu trzydziestojednoletniego życia zmieniał siedemnaście razy adres i tylko trzykrotnie mieszkał sam. O tych doświadczeniach, o tych epizodach jest przedstawienie Theater Lindenhof na Szwabskiej Alpie. Na Szwabskiej Alpie dosłownie. *Melchinger Winterreise* odbywa się bowiem częściowo w plenerze, w pobliżu siedziby teatru, na górze zwanej Himmelberg.

4.

Nie ma nic nadzwyczajnego w letnich przedstawieniach plenerowych. Zespół Lindenhof grał w otwartej przestrzeni wielokrotnie, nie tylko we wspomnianych wyżej hölderlinowskich miejscach w Tybindze. Teraz odważono się jednak na formułę dużo bardziej niezwykłą, bo zimową. Niezależnie od pogody, będącej ważnym komponentem spektaklu. Im gorsza, tym większy jej „współdział” w całości i tym większe wrażenie wywiera owa całość na widzach, którzy przy okazji osobiście doświadczają trudów wędrówki w obcych stronach.

Najpierw publiczność jest dzielona na grupy, według koloru posiadanych biletów: jedna zostaje w gospodzie, drugą zaś zaprasza się do czekającego przed teatrem starego autobusu. Przewodnik w długim, szarym szynelu, z megafonem w ręce, opowiada po drodze o warunkach panujących na górze: -44°C , znowu zamarzała tam niedawno jakaś wycieczka; należy trzymać się razem i wykonywać polecenia prowadzącego. W pewnej chwili autobus zatrzymuje policja, kontrola. Wysiadających na górze witają z kolei wojskowe instrukcje



Himmelberg koło Melchingen podczas przedstawienia
Melchinger Winterreise.

wydawane w obcym języku, po rosyjsku, oraz... akordeoni-
sta. Atmosfera niepewności i zagrożenia, ale i pewien dy-
stans. Akordeon przypomina, że jesteśmy tylko obserwato-
rami. Ruszamy więc w wędrówkę po Himmelbergu (*nomen
omen*, bo *Himmel* znaczy po niemiecku „niebo”). Mijamy
policjantów arestujących właśnie w lesie jakichś uciekinie-
rów; mijamy nędznie ubraną rodzinę bez ojca, z odłożonymi
na chwilę pakunkami, odczytującą z rozłożonej mapy obco
brzmiące nazwy miejscowości „-ingen”; mijamy barakowóz,
przed którym przysiedli bezdomni; mijamy Schuberta z wa-
lizkami w rękach podążającego mozolnie gdzieś w dal; mija-
my kobietę intonującą na rozstrojonym pianinie *Fremd bin
ich eingezogen...*, ale w pewnym momencie zatraskującą
z hukiem klapę instrumentu i odchodzącą bez celu przed sie-
bie; mijamy malarza pochylonego nad jakimś abstrakcyj-
nym dziełem i wyjaśniającego współtowarzyszce, po szwab-
sku, pryncypia swej nierozumianej przez nikogo sztuki; mi-
jamy wreszcie policjanta i metternichowskiego cenzora dys-
kutujących o przypadku pewnego wiedeńskiego muzyka.
Pośród tych „Stacji pamięci” – jak brzmi podtytuł sztuki –
krąży cały czas jedna postać nierealna: Anioł Historii wygła-
szający krótkie komentarze do oglądanych scen albo wdają-
cy się w rozmowy z napotkanymi osobami. Zwraca się też
bezpośrednio do widzów, wskazując między innymi na swój
rodowód: opisuje wtedy akwarelę Paula Klee *Angelus novus*,
której właścicielem był kiedyś Walter Benjamin, jeszcze je-
den, jak wiadomo, wojenny uciekinier, próbujący uciec
przed Historią w samobójstwo – jak matka autora i zarazem
jednego z bohaterów sztuki.

Tym wszystkim obrazom towarzyszą prawie cały czas
dźwięki akordeonu, instrumentu wędrowców, przetwarzają-
cego różne motywy z *Winterreise* oraz odgłosy obracają-
cych się skrzydeł trzech ogromnych wiatraków znajdują-
cych się na Himmelbergu, wiatraków produkujących prąd
elektryczny. Daje to dość niesamowite wrażenie. Wiatraki
łatwo zmieniają się w wyobraźni w krzyże, a „stacje pamię-

ci” w stacji Drogi Krzyżowej. Choć może jest to tylko odczucie widza, który pamięta o trzech krzyżach górujących kiedyś, zupełnie gdzie indziej, nad akcją zupełnie innej realizacji scenicznej: najsłynniejszej, Schillerowskiej inscenizacji *Dziadów*... Potworna pogoda panująca w Melchingen tego dnia, kiedy oglądałem spektakl, wiatr, deszcz i zlodowaciała bryja śnieżna pod nogami, dopełniały tej obserwacji uczestniczącej w szczególny sposób. W dodatku ja też przecież byłem obcy wśród Szwabów. *Fremd bin ich eingezogen*...

5.

Po powrocie do teatralnej gospody widzowie dostają grzane wino i w oczekiwaniu na przybycie drugiej grupy z Himmelbergu słuchają lektury fragmentów książki Petera Härtlinga *Der Wanderer* (Wędrowiec). Jest tam mowa o powstawaniu *Winterreise* i o umieraniu Schuberta. Także o tym, co po nim, poza muzyką, zostało: 3 fraki, 3 surduty, 10 par spodni, 1 kapelusz, 5 par butów, 2 pary kaloszy, 4 koszule, 9 chustek, 13 par skarpetek, 1 kołdra, 2 poszwy, 1 prześcieradło, 1 ręcznik, 1 materac... Po trzech kwadransach, kiedy druga część publiczności wróci z mroźnej wyprawy, wszyscy przechodzą przez podwórze do obszernej stodoły, gdzie – już na scenie – odbywa się dalszy ciąg przedstawienia. Szybkie, przenikające się obrazy z kilku rzeczywistości: metternichowskiego Wiednia, nazistowskiej i postnazistowskiej Szwabii oraz powojennej wędrowni ludów. Schubert, szukający ciągle swego miejsca na ziemi, biedny syfilityk, poróżniony od lat z ojcem, zmagający się ze sobą i z otoczeniem, recytujący w godzinę śmierci tekst wiersza *Der Leiermann* (Kataryniarz) – ostatniej pieśni z cyklu *Winterreise*. Malarz Ruoff aresztowany w 1940 roku przez sąsiada, który nagle stał się agentem. Dwunastoletni sierota z Saksonii pod opieką babki i ciotki, próbujący uczyć się języka szwabskiego i nowego życia, by w końcu jed-



Melchinger Winterreise.

nak ruszyć dalej w świat. Pośród wszystkich bohaterów i zdarzeń krąży znowu Anioł Historii, a pianistka i akordeonista z Himmelbergu akompaniują tym obrazom wariacjami na temat *Podróży zimowej*.

Reżyser każe jednak publiczności zachować dystans do pokazywanych epizodów. Od czasu do czasu pomiędzy scenę a widownię opada przezroczysta kurtynka, do aktorów zaś podchodzi z egzemplarzem w ręce suflerka i głośnym szeptem podrzuca im tekst. Te efekty obcości przypominają, że jesteśmy w teatrze i że my – tutaj także jesteśmy obcy.

6.

Kiedy po przedstawieniu wyszedłem z teatralnej stodoły, wprost na podwórze, zapadł już zmrok. Zachmurzone i deszczowo-śniegowe przedtem, podczas wędrówki po Himmelbergu, niebo otworzyło się i rozgwieździło. Część widzów udała się do gospody na kolację, pozostali zaczęli wsiadać do samochodów, uruchamiać silniki i odjeżdżać w noc, na dół: przez Mössingen, Dußlingen, Derendingen do Tübingen. Do miasta uczonych i poetów, spośród których zapewne nie tylko ci na literę H, jak Hölderlin, Hesse i Härtling – a każdy w innym czasie, w innych okolicznościach, w inny sposób i wobec czego innego – doświadczyli silnego uczucia wyobcowania. Stary Hölderlin, patrzący z okna swej wieży na świat, który już nie był jego światem; dwudziestoletni Hesse, podążający codziennie o 7.15 do antykwariatu Heckenhauera, by pośród książek i faktur uczyć się nielubianego zawodu księgarza, a po nocach uciekający we własne wnętrze, „ins Innere”⁴, i piszący wiersze;

⁴ Tak sam to określił w liście do rodziców z 2 października 1898, cytowanym w: Helmut Hornbogen, *Tübinger Dichter-Häuser. Literaturgeschichten aus Schwaben*, 2. erweiterte Auflage, Verlag Schwäbisches Tagblatt, Tübingen 1992, s. 232.

mały Härtling, rzucony po wojnie w nieznaną szwabskość, o czym opowiedział w zakończonym właśnie spektaklu.

Teatralne podwórze opustoszało. W Melchingen świeciły się wokół okna kilkunastu domów, z oddali dochodził zaś ledwie słyszalny, jednostajny szum elektrycznych wiatraków. Było zimno, pomyślałem, że i na mnie już czas. Czas opuścić Szwabską Alpe. Pomyślałem to słowami Müllerskiego wiersza: „Przybyłem jako obcy, odchodzę obcy wciąż...”

Luty 1999

Zusammenfassung

Der vorliegende Band trägt den Titel *Der Hölderlinturm und andere Orte* (polnisch: *Wieża Hölderlina i inne miejsca*) und umfasst sieben Essays über bedeutende Vertreter der deutschen Kultur in Verbindung mit einigen außergewöhnlichen Orten in Südwestdeutschland und der alemannischen Schweiz. Der Autor, der selber fünf Jahre in Schwaben als Gastdozent an der Universität Tübingen verbrachte, will dem polnischen Leser einen individuellen Blickwinkel auf die deutsche Kultur bieten und ihm diese näherzubringen. Dabei stellt er berühmte Persönlichkeiten (wie z.B. Friedrich Hölderlin, Friedrich Nietzsche, Hermann Hesse) nicht, wie gewohnt, in universeller und deshalb abstrakter Sicht, sondern im konkreten, lokalen Kontext vor. Zudem kann das Buch als Zeugnis individueller Erfahrung des *genius loci* verschiedener deutscher und schweizerischer Orte betrachtet werden und deshalb vielleicht über die Grenzen Polens hinaus Interesse finden. Nicht nur wegen der Namen und Orte, sondern auch aufgrund eines anderen, persönlichen Blickwinkels.

Die Titel und Themen der einzelnen Essays:

Der Hölderlinturm. Die Geschichte dieses Tübinger Wahrzeichens und seines Bewohners, wobei das Stereotyp vom tragischen Schicksal des geisteskranken Dichters in Frage gestellt wird.

Zwei Theater in Bayreuth. Vergleich des Markgräflichen Opernhauses mit dem Festspielhaus (samt ihren unterschiedlichen Theaterideen), die im Laufe der Zeit zu einem „Museum“ bzw. „Sanktuarium“ erstarrten.

Der Nietzsche-Stein. Sils-Maria im Oberengadin, der „Geburtsort“ des „Zarathustra“, als Schauplatz von Nietzsches Suche nach sei-nem Ort auf Erden und als Station auf dem Weg in die gei-stige Umnachtung.

Nebel am Bodensee. Beschreibung von Hermann Hesses erstem Haus in Gai-enhofen, wo der Erfolgsschriftsteller, Ehemann und Familienvater nach der verlorenen Freiheit sucht. („Darf ein Künstler heiraten?...“)

Der Zauber von Davos. Vergleich einer Episode im Leben Thomas Manns mit der Geschichte seines Romanhel- den Hans Castorp. Die Entstehung des Kurortes Davos und der Einfluß des *Zau-berbergs* auf dessen weitere Ent- wicklung.

Das Goetheanum. Das Zentrum für Anthroposophie in Dornach und sei-ne Baulichkeiten als Ausdruck von Ru- dolf Steiners geistigen Bestrebungen.

Theater auf der Schwäbischen Alb. Das einzige deutsche Regionaltheater (Lindenhof) in Melchingen auf der Schwäbischen Alb und seine Verwur- zelung in schwäbi- scher Kultur und Sprache am Beispiel einer Aufführung der *Melchinger Winterreise*: Schuberts Schicksal in An- knüpfung an die Erfahrungen deutscher Weltkriegs- Flüchtlinge. („Fremd bin ich eingezogen, fremd zieh ich wieder aus...“)

Nota

Ostatni z zamieszczonych tu szkiców, *Teatr na Szwabskiej Alpie*, drukowany był wcześniej w miesięczniku „Dialog” (1999, nr 8), wszystkie pozostałe (poza *Goetheanum*) miały swój pierwodruk w „Twórczości”:

Wieża Hölderlina: 1998, nr 3; *Dwa teatry w Bayreuth*: 1999, nr 3; *Kamień Nietzschego*: 1999, nr 6; *Mgła nad Jeziorem Bodeńskim*: 1999, nr 12; *Czarodziejskie Davos*: 1997, nr 11.

Przed opublikowaniem w obecnym wydaniu wszystkie zostały ponownie przejrane i poprawione, niektóre zaś uzupełnione lub zmienione.

W.D.



Spis ilustracji

1. Wieża Hölderlina (na drugim planie) w Tybindze przed przebudową, ok. 1868.
2. Wieża Hölderlina, stan obecny.
3. Widownia teatru operowego w Bayreuth, z lożą książęcą w centrum, stan obecny.
4. Festspielhaus Richarda Wagnera, fragment widowni.
5. Dom Nietzschego w Sils-Maria.
6. Kamień Zaratustry nad jeziorem Silvaplana.
7. Sils-Baselgia, półwysep Chastè nad jeziorem Sils i Piz daa la Margna.
8. Pierwszy dom Hermanna Hessego w Gaienhofen.
9. Półwysep Höri z Gaienhofen nad Jeziorem Bodeńskim, w głębi wyspa Reichenau.
10. Waldsanatorium w Davos przed przebudową.
11. Widok na Davos z balkonu Waldsanatorium.
12. Pierwsze Goetheanum w Dornach.
13. Kociołnia przy Goetheanum w Dornach.
14. Drugie Goetheanum w Dornach.
15. Himmelberg koło Melchingen podczas przedstawienia *Melchinger Winterreise*.
16. *Melchinger Winterreise*.

Na okładce wieża Hölderlina w Tybindze (fot. Wojciech Dudzik) oraz zdjęcie autora (fot. Tomasz Maniewski).

Wszystkie fotografie pochodzą ze zbiorów autora.

Indeks osób i nazw geograficznych

A

- Adorno Theodor 78
Adriatyckie Morze 56
Albula-Pass 56
Alpen 92, 149, 150, 152
Alpstein 81, 92
Alpy, zob. Alpen
Alzacja 151
Andrassy, hrabia 44
Anglia 116, 120
Ansbach 43
Antochewicz Bernard 22
Arlesheim 142
Arosa 124
Ascona 93
Asyż 101
Ateny 46
Augsburg 56
Austria 56, 114, 155
Autenrieth Johann Ferdinand 13–15, 20
Azja 104
- ### B
- Baden, miasto 100
Baden, region 151
Baden-Baden 54
Badenia, zob. Baden, region
Badenia-Wirtembergia, zob. Baden-
-Württemberg
Badenweiler 100
Baden-Württemberg 149, 153
Ball Hugo 104
Baran Bogdan 54, 69
Barth Herbert 41
Basel 54, 55, 77, 83, 84, 87, 94, 127,
128, 142, 147
Basle, zob. Basel
Bauer Oswald Georg 50
Bawaria, zob. Bayern
Bayern 35, 36, 47, 150
Bayreuth 9, 31, 32, 35–37, 43, 45,
47–51
Bazylea, zob. Basel
Beethoven Ludwig van 37
Belgia 116
Benjamin Walter 159
Berent Wacław 64
Berlin 104
Berlingen 81
Bern 106, 107, 141
Bernoulli Johannes 95
Bernoulli Maria (Mia Hesse) 84,
94–97
Bernus Alexander Freiherr von 87
Besant Annie 131
Bibiena Carlo Galli 35, 42, 43
Bibiena Giuseppe Galli 32, 35, 43
Bielicka Emilia 113
Biermeier Christoph 155
Biesantz Hagen 132, 140
Bilska Krystyna 123
Birs 128
Bismarck Otto von 46, 74

Bließer, intrologator 13
Bloch Ernst 78
Blommestein Luise van 137
Blume Michael 140
Bobrowski Johannes 19
Bodanrück 81
Bodensee 9, 56, 57, 81–83, 89, 91,
92, 94, 101, 106, 108, 149, 167
Bodeńskie Jezioro, zob. Bodensee
Bodman Emanuel von 94
Bois-Reymond L. du 88
Bordeaux 12, 20
Bordoni-Hasse Faustina 43
Borneo 104
Brahms Johannes 47
Bregencja, zob. Bregenz
Bregenz 102
Breunlin Heinrike 22
Brückwald Otto 48
Brügge Peter 141
Brun Fritz 101
Brwinów 10
Bührer Jakob 122
Bülow Hans von 36
Bürkel Ludwig von 45

C

Całw 84, 108, 151
Canetti Elias 78
Castiglione 101
Cejlon 104, 105
Celan Paul 19, 78
Chabówka 110
Chałubiński Tytus 115
Chapütschin 64
Chaste 63, 64, 72, 73, 77–79
Chopin Fryderyk 87, 91, 95
Chur 57, 58, 110
Cocteau Jean 78
Colli Giorgio 54
Crasta 64
Czajkowski Piotr 47, 48
Czarne Morze 56

Czechy 116
Czerwony Men. zob. Roter Main

D

Davos 55, 57, 109, 112–117, 120–
123
Davos-Dorf 110, 116
Davos-Platz 110, 116
Delemont 142
Derendingen 163
Dolbin Ninon 107
Dolina Pięciu Stawów 110
Dolne Jezioro, zob. Untersee
Donau 149
Dornach 127–129, 134, 141, 142,
145–147
Doyle Arthur Conan 120
Dresden 140
Drexler Luna 133
Drezno, zob. Dresden
Drög 64
Droste-Hülshoff Annette von 82
Dunaj, zob. Donau
Durisch Gian Rudolf 60, 74, 77
Dürrenmatt Friedrich 78, 141
Duse Eleonore 140
Dußlingen 163
Dygat Stanisław 83

E

Eberhardt Carl Friedrich 27
Eberhardt Fritz 27
Egipt 116
Elisabeth Friederike Sophie, księż-
na wirtemberska 35
Elżbieta, zob. Elisabeth Friederike
Sophie, księżna wirtemberska
Emmishofen 94
En. zob. Inn
Engadin 9, 55–60, 71, 74, 78–80
Engadyna, zob. Engadin
Europa 38, 59, 71, 105, 115, 119,
127

F

Fant Äkne 139
Feldkirch 102
Fex Val 63, 64, 77
Fiedin Konstantin 122, 123
Filisur 110
Finckh Ludwig 89, 92–94
Fischer Longinus 15
Flüela-Pass 56
Fora 64
Förster-Nietzsche Elisabeth 77
FraenkI, prof. 100
Francja 12, 71, 116
Franken 35, 43
Frankfurt am Main 12
Frankonia, zob. Franken
Frenzel Karl 44, 45, 47
Friederike Sophie Wilhelmine, margrabina Bayreuth 9, 32, 43
Friedrich der Vielgeliebte, margrabia Bayreuth 32, 43
Friedrich II. der Große, król pruski 32
Friedrich Wilhelm I., król pruski 32
Friedrichshafen 101, 102
Frisch Max 78
Fryderyk Wielce Ukochany, zob. Friedrich der Vielgeliebte, margrabia Bayreuth
Fryderyk Wielki, zob. Friedrich II. der Große, król pruski
Fryderyk Wilhelm I. zob. Friedrich Wilhelm I., król pruski

G

Gaienhofen 9, 82–84, 88, 90, 95, 100, 101
Galli Eugenie 74
Gast Peter, zob. Köselitz Heinrich
Geissendörfer Hans Werner 125
Gelbke Franz 120
Genewa 54

Genua 54, 103
George Stefan 19
Gersdorff Carl von 63
Getynga, zob. Göttingen
Gilman Sander L. 63
Glarneńskie Alpy, zob. Glarner Alpen
Glarner Alpen 92
Gmelin Johann Georg 24
Gnadensee 81
Goethe Johann Wolfgang von 103, 127, 131, 137
Gok Johanna Christianne 22
Gok Karl 24
Gombrowicz Witold 78
Gontard Jakob Friedrich 12
Göppingen 150
Göttingen 46
Gottlieben 94
Gounod Charles François 47
Graubünden 56–58, 60, 109, 115
Grecja 116
Greiner Wolfgang 140
Gretter Susanne 78
Grieser Dietmar 122
Grisons, zob. Graubünden
Grossheintz Emil 128, 133, 137
Gryzonia, zob. Graubünden
Gundert Hermann 104

H

Habel Heinrich 37
Hager Luisa 43
Hamburger Michael 19
Harraden Beatrice 120
Härtling Peter 10, 155, 160, 163, 164
Hasse Johann Adolf 43
Hauptwil 82
Hauri J. 116
Hechingen 150
Heckenhauer J. J. 163
Hegel Georg Wilhelm Friedrich 14

Hesse Bruno 95, 103
Hesse Heiner 87, 100, 103
Hesse Hermann 8–10, 19, 78, 80–83, 88–90, 92–94, 99–104, 151
Hesse Martin 102
Hesse Mia, zob. Bernoulli Maria (Mia Hesse)
Himmelberg 156, 159, 160, 163
Hindermann Hans 95
Hinkelbein Susanne 155
Hiszpania 116
Hitler Adolf 41, 47
Hohenstaufen, ród 150
Hohenzollern, ród 150
Holandia 116
Hölderle, zob. Hölderlin Friedrich
Hölderlin Friedrich 8–16, 19–24, 27–30, 59, 82, 154, 155, 163
Homburg 12, 13, 20
Höri 83, 89, 106
Hornbogen Helmut 163
Hundertwasser, wł. Stowasser Friedrich 145
Hurm Bernhard 153

I

Ibsen Henrik 140
Ilg Paul 94
Indie 103, 104, 105
Indonezja 104
Inn 56, 59, 60, 65
Ionesco Eugène 78
Irak 116
Iwaszkiewicz Jarosław 121
Iznang 92, 93

J

Jaeger Jaques de 138
Janz Curt Paul 71
Jastrun Mieczysław 22, 30
Jena 12
Jessen Friedrich 110, 113, 122
Jost Dominik 83

Jugosławia 116
Julier-Pass 56–59
Jung Carl Gustav 107
Jungfrau 106
Jungfrauoch 107
Jura 128, 139
Jura Szwabska, zob. Schwäbische Alb
Jurasz-Dudzik Łada 88

K

Kalb Margret 91
Karl II. Eugen, książę wirtemberski 35
Karol II Eugeniusz, zob. Karl II. Eugen, książę wirtemberski
Kazmaier Martin 16
Klabund, wł. Alfred Henschke 120, 121
Klee Paul 159
Klingborg Arne 132, 139
Köhler Joachim 65
Konstancja, zob. Konstanz
Konstanz 81, 82, 88, 91, 92, 94, 102
Köselitz Heinrich (Peter Gast) 55, 65, 71
Kraków 11
Kraljevac 127
Kramsztyk Józef 110
Kraus Karl 78
Kreuzlingen 92
Kruczy Wierch, zob. Piz Corvatsch
Kuala Lumpur 104
Kunicki Wojciech 65

L

Lago Maggiore 93
Lam Andrzej 22
Landquart 109, 115
Landwasser 114
Le Corbusier, wł. Charles Edouard Jeanneret 145
Lebret Johann Friedrich 12

Lej da Segl, zob. Silser See
Lej da Silvaplauna, zob. Silvapla-
ner See
Lemberg 150
Lenk Ilona 155
Leonberg 14
Lindau 82, 102
Lombardia 103
Lucerna, zob. Luzern
Ludwig II., król bawarski 35, 37,
38, 41, 46, 47
Ludwik Bawarski, zob. Ludwig II.,
król bawarski
Ludwik II, zob. Ludwig II., król ba-
warski
Lugano 107
Lustnau 14
Luzern 100

M

Majorka 116
Maksymilian I. zob. Maximilian I.,
król niemiecki
Maloja 60
Maloja-Pass 56, 58, 60, 63, 78
Mann Erika 123
Mann Katja 110, 113, 124
Mann Michael 113
Mann Thomas 8, 10, 78, 79, 109,
113, 120–123
Mannowie Katja i Thomas 110, 113
Marbach 29, 108
Marcuse Herbert 78
Mariańskie Łaźnie 54
Maryon Edith 138
Maulbronn 103
Maupertuis Pierre Louis Moreau
de 127
Maximilian I., król niemiecki 127
Mayer Hans 45
Meersburg 82, 102
Meiningen 140
Meister Ernst 19

Melchingen 10, 150, 152–155, 160,
164
Metz Peter 58
Michels Ursula i Volker 87
Michels Volker 88, 89, 151
Modrow Philippe 119
Monachium, zob. München
Montagnola 107, 108
Monte Verità 93–95
Montinari Mazzino 54
Morawy 155
Morgenstern Christian 120
Morris William 88
Mössingen 163
Müller Wilhelm 5, 154
München 35, 37, 48, 94, 100, 128,
142
Münchenstein 142
Musil Robert 78

N

Nadrenia, zob. Rheinland
Naumburg 54, 59, 71
Neckar 11–16, 19, 28, 29, 149, 155
Neruda Pablo 78
Niemy 9, 57, 71, 82, 83, 91, 94,
109, 116, 119, 123, 149–152, 154
Nietzsche Friedrich Wilhelm 8–10,
36, 53–55, 58–60, 63–66, 69, 71–
74, 77–79
Norwid Cyprian Kamil 27
Nürtingen 13, 155

O

Orvieto 101
Osjan 90
Österberg 21
Ostermündingen 107
Overbeck Franz 55, 71

P

Pasternak Boris 78
Pedro II, cesarz brazylijski 37, 45

Philippi Hans 113
Piz Bernina 55
Piz Corvatsch 66
Piz da la Margna 78
Plessen Elisabeth 113
Polska 71, 116
Portugalia 116
Pólnocne Morze 56
Prättigau 114
Proust Marcel 78

R

Raab Rex 139
Raabe Paul 120
Radolfzell 83, 87, 99
Rammert 16
Rapallo 66
Reichenau 81, 82
Remarque Erich Maria 120
Ren, zob. Rhein
Retyckie Alpy, zob. Rhätische Alpen (Rhätikon)
Retykon, zob. Rhätische Alpen (Rhätikon)
Reutlingen 150, 153
Rhätische Alpen (Rhätikon) 114
Rhein 35, 45, 81, 102, 109, 127
Rheinland 152
Richter Hans 35, 49
Rilke Rainer Maria 78
Röcken 73
Roggkamp Walther 140
Rolland Romain 48, 105
Rorschach 57, 109
Roseggletscher 58
Rosja 116
Rossi Ernesto 140
Roter Main 35
Rottenburg 10
Rumunia 116
Ruoff Franz 155, 160
Ruskin John 88
Rychter Tadeusz 133

S

Sachsen 160
Saint-Pierre Joseph 35, 49
Saksonia, zob. Sachsen
Salenstein 94
Salis-Marschlins Meta von 63
Salvini Tommaso 140
Säntis 81
Scardanelli, zob. Hölderlin Friedrich
Schatzalp 116
Schelling Friedrich Wilhelm Joseph 14
Schiller Dieter i Doris 82
Schiller Leon 160
Schirmer Hans 91
Schirnhofen Resa von 66, 72–74
Schoeck Othmar 101
Schön Friedrich 47
Schönhaar Wilhelm Friedrich 42
Schubert Franz 10, 87, 154–156, 159, 160
Schulze, cukiernik 71
Schuurman, małżonkowie 138
Schwaben 14, 152, 160
Schwäbische Alb 10, 19, 149–151, 154, 156, 164
Schwäbische Alp, zob. Schwäbische Alb
Schwarzwald 84, 149, 150
Seelig Lorenz 43
Semper Gottfried 48
Siedleccy Franciszek i Jadwiga (Wiga) 142
Siedlecka Jadwiga (Wiga) 133
Siedlecki Franciszek 133
Sils-Baselgia 59, 63
Silser See 60, 73
Sils-Maria 9, 53, 59–61, 64–66, 70, 71, 73, 74, 78, 79
Silvaplana, wieś 57, 59, 71, 80
Silvaplana, jezioro zob. Silvaplanner See

Silvaplaner See 7, 57, 60, 65, 66, 69
Sinclair Issak von 13
Sindlinger 24
Singapur 102, 104, 116
Sonn matt 100
Sorrento 54
Spengler Alexander 115, 119
Spoleto 101
Sprecher Thomas 121–123, 125
St. Moritz 56–59, 74, 110, 124
St. Petersburg 140
St. Wolfgang 109
Staff Leopold 53
Staniewski Włodzimierz 154
Steckborn 81, 83, 84, 95
Steiner Rudolf 8, 128, 131–134,
137–140, 142, 145
Steiner-von Sievers Marie 140, 146
Steinlach 13, 16, 19
Stempowski Jerzy 141
Stevenson Robert Louis 120
Strauß Emil 94
Strawiński Igor 45
Strindberg August 82
Sturzenegger Hans 103
Stuttgart 14
Sueski Kanał 103
Sumatra 104
Surlej 66
Szkocja 116
Szwabia, zob. Schwaben
Szwabska Alpa, zob. Schwäbische
Alb
Szwabskie Morze, zob. Bodensee
Szwajcaria 9, 55, 57, 93, 94, 103,
105–107, 116, 124, 128, 150
Szwarcwald, zob. Schwarzwald

T
Thun 107
Thurneysen-Merians Clara 74
Ticino (Tessin) 107
Tieck Ludwig 43

Tiefencastel 58
Tirol 57
Toggenburg von, grafowie 114
Tołstoj Lew 88
Toussaint Ingo 44
Tremoggia 64
Tribtschen 35
Tübingen 11, 13, 19, 28, 29, 150,
151, 153, 154, 163
Tucholsky Kurt 78
Turban Karl 121, 122
Turcja 116
Tybinga, zob. Tübingen
Tyrol, zob. Tirol

U

Überlingen 94
Überlinger See 81
Uhland Ludwig 19, 29
Ulm 149, 151
Umbria 101
Untersee 81, 83, 106

V

Vatz von, rodzina 114
Verdi Giuseppe 47
Voltaire, wł. François Marie Arou-
et 43
Vorarlberg 57

W

Wackenroder Wilhelm Heinrich 43
Wagner Cosima 35, 36
Wagner Richard 8–10, 35–38, 41,
42, 44–50, 58, 72, 73
Wagner Winifred 41
Wagner Wolfgang 50
Waiblinger Wilhelm 20, 21
Wallis 57
Walser Martin 82
Wasserburg 82, 102
Wattenwyl, antykwarjusz 83
Wedekind Frank 140



Weimar 140
Wellendingen 150
Wenecja 55
Wenezuela 116
Wenger Ruth 107
Widmann Josef Victor 96
Wiedeń, zob. Wien
Wien 38, 43, 155, 156, 160
Wiesen 55, 58
Wilhelm I., cesarz niemiecki 36, 37,
45
Wilhelmina, zob. Friederike Sophie
Wilhelmine, margrabina Bay-
reuth
Wilhelmina Zofia, zob. Friederike
Sophie Wilhelmine, margrabina
Bayreuth
Wirtembergia, zob. Württemberg
Wittkop Gregor 13
Wittmann Maximilian 27
Włochy 56, 71, 94, 101

Włocławek 140
Wogezy 150
Wolfenhausen 12
Wolter, zob. Voltaire, wł. François
Marie Arouet
Worms 47
Würstenberger Ernst 94
Württemberg 14, 151
Wyken Ernst F. 16
Wysiński Andrzej 141

Z

Zakopane 110, 115
Zellmer Uwe 153
Zeppelin Ferdinand von 102
Ziegler Johann Georg 49
Zimmer Charlotte 24
Zimmer Ernst 13–16, 20, 22–24, 29
Zimmer Marie Elisabeth 15
Zürich 72, 100, 103
Zurych, zob. Zürich

Spis treści

Przedmowa. Ludzie, miejsca, widoki	7
Wieża Hölderlina	11
Dwa teatry w Bayreuth	31
Kamień Nietzschego	53
Mgła nad Jeziorem Bodeńskim	81
Czarodziejskie Davos	109
Goetheanum	127
Teatr na Szwabskiej Alpie	149
Zusammenfassung	165
Nota	167
Spis ilustracji	169
Indeks osób i nazw geograficznych	171



ms 111'555

